

Donald Trump zapytany przez dziennikarzy o wybór nowego papieża stwierdził, że sam z chęcią by nim został. To – z oczywistych względów – nie wydarzyło się, ale w słowach prezydenta USA można doszukiwać się pewnego pierwiastka proroctwa. Kilka dni później biały dym zwiastował wybór jego rodaka. Amerykanin o bogatej biografii i duszpasterskiej wrażliwości deklaruje ambicję połączenia Franciszkowej otwartości z instytucjonalnym autorytetem sprzed dekad. Czy to ostatnia próba odzyskania wpływów przez Kościół?



Zdjęcie własne autora

Wyremontować drogę? Na razie nie ma funduszy. Zbudować nowy dworzec? Może być trudno. Obecne czasy zmuszają do wieloletniego czekania na zmiany. A co, jeśliliby wyjść z propozycją wykopania jeziora w centrum miasta? Mało kto zostałby z takim konceptem potraktowany poważnie. Zerkając jednak w przeszłość, takie rzeczy się zdarzały. Właśnie w ten sposób powstało Jezioro Maltańskie. Jak się okazuje, kiedyś nawet tak silne nagiecie natury do ludzkiej woli nie było w Wielkopolsce niemożliwe.

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra



Bezpłatny miesięcznik
Nr 118 ■ CZERWIEC 2025

Karol Nawrocki, zwycięzca tegorocznych wyborów prezydenckich, odbiega od swoich poprzedników. Jest nowym człowiekiem w politycznym świecie. Do tej pory kierował Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i Instytutem Pamięci Narodowej, jednak nie był dotąd choćby szeregowym posłem. Mimo to, w wyniku długiej i zaciętej kampanii Pierwszy Historyk Rzeczypospolitej stanie się niedługo jej Pierwszym Obywatelom. Kim jest Nawrocki? W jaki sposób odniósł zwycięstwo? Jak może wyglądać jego prezydentura?

Prezydent-elekt, Karol Nawrocki, urodził się w Gdańsku w 1983 roku. Ukończył tam liceum, po czym został studentem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Gdańskiego. Na swojej uczelni Nawrocki obronił licencjat, a następnie pracę magisterską. Dalszą edukacyjną drogę kontynuował na studiach podyplomowych – International MBA in Strategy, Programme and Project Management. Powyższe fakty stwarzają obraz wręcz idealnej młodości przyszłego prezydenta-elekt. Do tej pory nie wiemy jednak, jak bardzo pokrywa się on z faktyczną historią przyszłego Prezydenta RP.

Znawca przeszłości

W latach 2009-2017 pracował w Instytucie Pamięci Narodowej. Po pięciu latach przejął funkcję naczelnika w jednym z biur edukacji publicznej w tym Instytucie. Kierował wówczas pracami naukowo-edukacyjnymi na terenie oddziału IPN. Od kwietnia 2017 roku piastował stanowisko dyrektora Muzeum II

Z archiwów do Pałacu



Karol Nawrocki w trakcie kampanii prezydenckiej uzyskał poparcie Prezydenta USA Donalda Trumpa.

Wojny Światowej w rodzinnym Gdańsku. W czerwcu tego samego roku został zastępcą Prezesa IPN. Być może nie spodziewał się wtedy, że to właśnie on zostanie wybrany na Prezesa tej instytucji już miesiąc później. Odbyło się to w drodze głosowania sejmowego, a następnie przy zgodzie Senatu RP. W Sejmie RP 248 posłów i posłanek było za, natomiast przeciw zagłosowało 198. Przyszłego prezesa wsparli posłowie Prawa i Sprawiedliwości, Polskiego Stronnictwa Ludowego i Konfederacji.

Warto wspomnieć, że w latach młodości Karol Nawrocki należał do klubu bokserskiego RKS Stocznowiec. Grał też w barwach drużyn

”Prezydent-elekt definitywnie ma się ku prawicy, między innymi ze względu na wsparcie swojej kandydatury przez PiS – partię pravicową i o konserwatywnym podejściu zarówno w kwestiach politycznych, jak i społecznych.

piłkarskich Ex Siedlce i KKS Gdynia, a następnie był stałym widzem meczów Lechii Gdańsk. Miał w tym czasie styczność z grupą pseudokibiców i jak się później okazało, brał udział w ustawionych walkach między kibolami Lechii oraz Lecha Poznań (według ustaleń Wirtualnej Polski miały one miejsce w roku 2009 i brało w nich udział około 140 osób). Przyznał to osobiście w rozmowie ze

Sławomirem Mentzenem u schyłku kampanii prezydenckiej.

Jakie poglądy może mieć człowiek wywodzący się z takiego środowiska? Prezydent-elekt definitywnie ma się ku prawicy, między innymi ze względu na wsparcie swojej kandydatury przez PiS – partię pravicową i o konserwatywnym podejściu zarówno w kwestiach politycznych, jak i społecznych. Wy-

kazał też sympatię wobec obecnego prezydenta USA Donalda Trumpa. Okazała się ona obustronna, kiedy Trump przyjął Nawrockiego w Białym Domu w trakcie kampanii prezydenckiej, a następnie w ciepłych słowach pogratulował mu wygranej.

Karol Nawrocki sprzeciwia się podnoszeniu podatków oraz liberalizacji prawa aborcyjnego. –Jestem katolikiem i przeciwnikiem ideologicznych wojen na ulicach polskich miast. Mamy w Polsce ludzi o różnej wrażliwości i wszystkie te wrażliwości dla mnie, jako kandydata obywatelskiego, są bardzo

dokończenie na str. 2

dokończenie ze str. 1

ważne. Zakończenie wojny polsko-polskiej wokół spraw ideologicznych jest tą rzeczą, na której bardzo mi zależy – stwierdził Nawrocki. – Nie mógłbym pozwolić jako przyszły prezydent, żeby aborcji były poddawane dzieci z zespołem Downa – mówił prezydent-elekt podczas kampanijnych wystąpień.

Kampania hejtu

Karol Nawrocki zaczął kampanię prezydencką z wizerunkiem bezpartyjnego fachowca, prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, człowieka spoza polityki. Od początku jednak było jasne, że jego kandydatura ma polityczne zaplecze. Poparcie Prawa i Sprawiedliwości nie było przypadkowe – partia liczyła na powtórzenie sukcesu z 2015 roku, gdy do Pałacu Prezydenckiego wprowadził się mało znany Andrzej Duda. Nawrockiego namaszczone na jego nowszą wersję: nieskompromitowany, świeży, z potencjałem do zmobilizowania konserwatywnego elektoratu. Kampania jednak szybko zeszała z torów spokojnej opowieści o wartościach. Kandydat „obywatelski” przyjął wyraźnie ideologiczną linię. W kampanii kładł nacisk na obronę tradycyjnych wartości i walkę z „lewicową rewolucją kulturową”. Przestrzegał przed „repisaniem historii Polski pod dyktando Zachodu” i deklarował, że jako prezydent będzie bronił dobrego imienia żołnierzy wyklętych oraz polityki historycznej opartej na etosie niepodległościowym. W podobnie jednoznaczny sposób odnosił się do społeczności LGBT+. Publicznie wykluczał poparcie dla związków partnerskich, mówił o „seksualizacji dzieci” i „ideologii gender”. Na jednej z kampanijnych scen demonstracyjnie zniszczył okładkę komiksu „Gender Queer”, co miało być, jak tłumaczył, „obroną polskiej rodziny”. W obszarze polityki zagranicznej również nie pozostawiał miejsca na kompromisy. Otwarcie dystansował się wobec integracji Ukrainy z NATO i Unią Europejską. W jednym z wystąpień stwierdził, że „Ukraińcom nie może żyć się w Polsce lepiej niż Polakom”, co wywołało kontrowersje wśród części opinii publicznej. Unii Europejskiej zarzucał „federalistyczne zapędy”, deklarując pełne poparcie dla „obrony suwerenności państw członkowskich”.

Wraz z radykalizacją przekazu pojawiły się kontrowersje. Portal „Onet” ujawnił tzw. „aferę mieszkaniową” – Nawrocki miał nabyć mieszkanie od starszego mężczyzny w ramach umowy gwarantującej w zamian dożywotnią opiekę, po czym senior trafił do DPS. Sam kandydat nie odnosił się długo do sprawy, aż pod naciskiem mediów zapowiedział przekazanie lokalu na cele społeczne. W tzw. aferze snurowej uwagę opinii publicznej przyciągnął moment z debaty w TVP 23 maja, w którym dostrzeżono u nie-



Prezydent-elekt Nawrocki zdołał wygrać wybory prezydenckie, choć przez większość kampanii to Rafał Trzaskowski był faworytem

1 czerwca powierzyliśmy naszą ojczyznę Nawrockiemu jako głowie państwa. Możemy mieć różny stosunek do jego światopoglądu, doświadczenia i przeszłości. Będzie on jednak przez najbliższe pięć lat najważniejszą osobą w państwie, ponoszącą odpowiedzialność za kraj. Choćby z tego względu powinniśmy życzyć zarówno prezydentowi-elektowi, jak i nam Polakom, aby ta kadencja była dobrym czasem dla Polski.

go saszetkę zakazanego w Polsce produktu tytoniowego. Pojawiły się także doniesienia o jego pracy jako ochroniarza w sopockim Grand Hotelu, kojarzonym w latach 90. XX wieku z półświatkiem, a także o kontaktach ze środowiskiem kibolskim Lechii Gdańsk i uczestniczeniu w ustawkach. Pomimo wszystkich zarzutów, Karol Nawrocki

zwyciężył. Kampanię zakończył oskarżeniem mediów o hejt i polityczną manipulację. Dla zwolenników stał się symbolem odwagi i niezłomności. Dla krytyków zaś ucieleśnieniem głębokiego podziału polskiego społeczeństwa oraz hipokryzji. Jedno nie ulega wątpliwości. Jego droga do prezydentury zostanie zapamiętana nie tyle z powodu

programu, ile z racji kwestii w niej zatajonych lub podgrzanych do granic społecznego napięcia.

Prezydent na niepewne czasy

Jakim Prezydentem RP będzie Karol Nawrocki? Na pozór mogłoby się wydawać, że nie będzie znaczącej różnicy między nim, a powoli kończącym drugą kadencję Andrzejem Dudą. Jednak pozory mogą mylić. Prezydent Duda mimo napięć pojawiających się w relacjach polsko-ukraińskich zawsze był zdeklarowanym orędownikiem euroatlantyckiej przyszłości Ukrainy. Nawrocki nie przejawia w tej kwestii podobnej stanowczości, co dobitnie pokazało podpisanie listy postulatów Mentzena zawierającej żądanie weta dla przystąpienia Ukrainy do NATO. Oczywiście sam Nawrocki podkreśla, że jest osobą

poszukiwaną w Federacji Rosyjskiej, natomiast nie równoważy to w pełni faktu zarzucenia przez niego dziedzictwa polityki wschodniej Prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Również w polityce wewnętrznej, wielu komentatorów (choćby Antoni Dudek) obawia się, że bardzo szorstką relację Prezydenta Dudy z Premierem Donaldem Tuskiem może zastąpić Wojna na górze na miarę chaotycznych lat 90. Przeciwnicy Nawrockiego posądzają go o chęć sparaliżowania koalicji rządowej wetami, które miałyby doprowadzić do rozpadu tzw. Koalicji 15 Października i rozpisania przyspieszonych wyborów. Zwolennicy prezydenta-elekta podkreślają, że on sam, mimo nieskrywanej niechęci do obecnej władzy, nigdy nie deklarował chęci doprowadzenia do chaosu w państwie. Pytaniem otwartym pozostaje kwestia relacji Nawrockiego z Jarosławem Kaczyńskim. Choć w trakcie kampanii wyborczej prezydent-elekt nie ukrywał decydującej roli Kaczyńskiego w rozpoczęciu walki o prezydenturę, to nie stanowi to gwarancji jego całkowitej uległości wobec Nowogrodzkiej.

1 czerwca powierzyliśmy naszą ojczyznę Nawrockiemu jako głowie państwa. Możemy mieć różny stosunek do jego światopoglądu, doświadczenia i przeszłości. Będzie on jednak przez najbliższe pięć lat najważniejszą osobą w państwie, ponoszącą odpowiedzialność za kraj. Choćby z tego względu powinniśmy życzyć zarówno prezydentowi-elektowi, jak i nam Polakom, aby ta kadencja była dobrym czasem dla Polski. Jednocześnie nie zapominajmy o patrzeniu naszym reprezentantom na ręce.

Nicole KRAKOWSKA,
Oliwia MAZIOPA,
Oskar KMAK



Trudną relację na linii Andrzej Duda – Donald Tusk może zastąpić otwarta wojna Prezydenta-elekta z Premierem

Wikimedia Commons. Licencja – Creative Commons Attribution 3.0 Poland. Autor – KPRM

Tegoroczne wybory prezydenckie zelektryzowały polskie społeczeństwo. To, co szczególnie rzuca się w oczy, to fakt, że młodzi ludzie po raz kolejny wzięli sprawy w swoje ręce. Miałam przyjemność pracować w komisji wyborczej, co dało mi unikalną perspektywę na zaplecze naszej demokracji. Moja praca pozwoliła mi zaobserwować zarówno wzruszające momenty obywatelskiego zaangażowania, jak i wyborcze wyzwania.

Pracą w komisji wyborczej to prawdziwa lekcja pokory i szacunku dla drugiego człowieka. Spotykałam różne osoby, które postanowiły oddać swój głos. Każda z nich przychodziła z własną historią. Byli ludzie, którzy mieli prawie 100 lat i z dumą, często z pomocą bliskich, wypełniali swój obywatelski obowiązek. Ich determinacja i radość z możliwości uczestniczenia w wyborach były naprawdę inspirujące. Widziałam też osoby z niepełnosprawnościami i chore, które mimo trudności, z uśmiechem na twarzy i w sposób wzorcowy oddawały swoje głosy. To świadczyło o sile ducha i głębokiego poczucia odpowiedzialności za losy kraju. Nie brakowało również dociekliwych pytań, kierowanych do nas. Jednym z częściej powtarzających się było to dotyczące obciętego rogu karty wyborczej. Wyjaśniałam, że obcięty róg jest niezbędny do idealnego dopasowania karty do nakładki Braille'a, co umożliwia osobom niewidomym samodzielne oddanie głosu. Inni wyborcy skrupulatnie sprawdzali, czy na karcie wyborczej znajduje się pieczęć. Wielu przynosiło swoje długopisy, z obawy przed możliwym sfalszowaniem wyborów przez użycie długopisów zmywalnych. Te obawy, choć bezpodstawne, świadczyły o coraz częstszym procedurze szerzenia dezinformacji w społeczeństwie.

Mężowie „zaufania”

W komisji obecny był mąż zaufania z komitetu prezydenta-elekta Karola Nawrockiego. Był to niezwykle miły człowiek, który skrupulatnie kontrolował naszą pracę. Obecność męża zaufania nie jest obowiązkowa, ale komitety wyborcze często korzystają z takiej możliwości. Nie wszędzie panowała jednak tak spokojna atmosfera, jak w mojej. Docierały do nas wieści o bardziej napiętych sytuacjach. W komisji znajdującej się w tym samym budynku, zasiadało dwóch mężów zaufania – z Prawa i Sprawiedliwości oraz z Koalicji Obywa-

Na straży wyborów



: Na przełomie maja i czerwca w tysiącach lokali zabiło serce polskiej demokracji.

”W drugiej turze wyborów mąż zaufania z mojej komisji zażądał dostępu do zaświadczeń o prawie do głosowania. Argumentował to krążącą w internecie plotką o możliwości fałszowania takich dokumentów. Problem w tym, że każde takie zaświadczenie zawiera unikalny numer identyfikacyjny, którego udostępnienie naruszałoby zasady RODO.

telskiej. Mąż zaufania z PiS-u odmówił podania ręki swojej odpowiedniczce z Koalicji, nie mogąc zrozumieć, jak można reprezentować taką partię. To niestety obrazu-

je głębokie podziały panujące w polskim społeczeństwie, które przenikają nawet do struktur odpowiedzialnych za zapewnienie uczciwości wyborów. Zdarzały się też

osoby, które otwarcie podważały pracę komisji wyborczej. Głośno było o sprawie, w której w jednym z lokali wyborczych wyborca zrobił zdjęcia jej członkom z ich plakietkami, zawierającymi imię i nazwisko, krzycząc w tle, że wysła ich wizerunki do gazety i nagłośni sprawę „złego” zarządzania wyborami. Takie incydenty, choć rzadkie, są dowodem na potrzebę edukacji obywatelskiej i wzajemnego szacunku, niezależnie od różnic w poglądach politycznych.

W drugiej turze wyborów mąż zaufania z mojej komisji zażądał

dostępu do zaświadczeń o prawie do głosowania. Argumentował to krążącą w internecie plotką o możliwości fałszowania takich dokumentów. Problem w tym, że każde takie zaświadczenie zawiera unikalny numer identyfikacyjny, którego udostępnienie naruszałoby zasady RODO. Brak jasnych wytycznych w kodeksie wyborczym w tej kwestii doprowadził do pewnego chaosu informacyjnego. Przewodniczący PKW, choć na konferencji prasowej stwierdził, że takie zaświadczenia można pokazać, później nie potwierdził tej informacji w formie rozporządzenia. To stworzyło sytuację, w której zarówno członkowie komisji, jak i mężowie zaufania mieli prawo podważać procedury, co z pewnością nie sprzyjało sprawnemu przebiegowi wyborów.

Czy jest tu miejsce na błąd?

Nie zabrakło również kontrowersji związanych z manifestowaniem przez członków komisji swoich preferencji politycznych. W Warszawie członkowie jednej z nich mieli założone czerwone koralety. Choć jest to drobny gest, uważam, że powinni oni zachować absolutną neutralność i nie sugerować wyborcom swoich preferencji. Każda osoba pracująca w tej roli powinna być bezstronna i nie dorażać, na kogo można oddać głos (takie pytania ze strony wyborców również się zdarzały). Nagminnym problemem było także jawne zaznaczanie głosów na stole, gdzie wydawane były karty do głosowania, co zawsze spotykało się z naszą dezaprobatą. Oczywiście, gdy w sali nie było wyborców, mogliśmy swobodnie rozmawiać o swoich preferencjach, o rodzinie, o zainteresowaniach. Zdarzały się osoby, które nie wiedziały, jak prawidłowo zaznaczyć głos na karcie wyborczej. W takich sytuacjach staraliśmy się wyjaśnić techniczne aspekty głosowania, nie sugerując jednak żadnego wyboru. Również mężowie zaufania, choć powinni być neutralni, niekiedy między słowami sugerowali komisji swoje poglądy. Na koniec warto poruszyć kwestię robienia zdjęć w lokalu wyborczym. Jest to dopuszczalne, ale zawsze po uzyskaniu zgody osób sprawujących funkcję przewodniczącego lub wiceprzewodniczącego komisji, także przy urnie wyborczej. Bezwzględnie zabronione jest jednak fotografowanie samych głosów czy też robienie zdjęć w momencie, gdy komisja wykonuje swoje zadania, na przykład podczas szukania danej osoby w spisie wyborców.

Wyборы nie są przedsięwzięciem prostym. Zaufanie do instytucji mających wpływ na kształt naszej demokracji, wymaga zaangażowania tysięcy osób. Ich niełatwa praca, sprawia że Polacy po raz kolejny mogli zdecydować o swojej przyszłości.



Wiarygodność procesu wyborczego zależy od członków komisji, mężów zaufania i samych wyborców.

Weronika SZCZUKIEWICZ

Brązowa Korona nad Polską

Człowiek o świetnym wykształceniu. Ekstremista. Zaskakująca gwiazda polskiej polityki. Powyższe określenia trafnie opisują Grzegorza Brauna. Będąc byłym członkiem opozycji demokratycznej lat 80., postuluje dziś wprowadzenie monarchii. Mimo bogatego dorobku scenarzysty i publicysty, Braun nie stroni od antysemickiej retoryki. Choć został wyrzucony z Konfederacji, nie porzucił ambicji budowania nowej siły na prawicy. Co leży u podstaw jego fenomenu? Dlaczego milion ludzi oddało na niego swój głos?

W tegorocznej kampanii prezydenckiej pierwsze skrzypce grała rywalizacja Rafała Trzaskowskiego i Karola Nawrockiego, pomiędzy którymi lawirował prezentujący nietradycyjne podejście do wyborców i mediów Sławomir Mentzen. Tymczasem aż 1 200 000 ludzi postanowiło oddać swój głos na Brauna. Jak przebiegała polityczna kariera tego kontrowersyjnego polityka?

Od dziennikarza do fundamentalisty

Braun pochodzi z inteligenckiej rodziny. Po ukończeniu w 1990 roku polonistyki na UW został tam wykładowcą. W tym samym czasie działał jako dziennikarz, m.in. we „Froncie”, Radiu Wrocław i „Magna Polonia”. Co ciekawe w latach 90. XX wieku próbował również swoich sił w branży filmowej.

W 2007 roku po raz pierwszy spróbował sił w polityce, chcąc wziąć udział w wyborach do Senatu z ramienia Unii Polityki Realnej. Nie zdołał jednak zebrać wystarczającej liczby podpisów. Nie zniechęciło to jednak przyszłej gwiazdy skrajnej prawicy. Po trzech latach Braun poparł kandydaturę Jarosława Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich. Jesienią tego samego roku bezskutecznie walczył o fotel radnego Wrocławia. W 2015 r. wystartował w wyborach prezydenckich. Zdobył 0,83% głosów, ale to właśnie wtedy zaczął konsolidować swoje polityczne zaplecze.

W 2019 roku stworzył monarchistyczną partię Konfederacja Korony Polskiej, która w tym samym roku weszła w skład sojuszu Konfederacja, dzięki któremu dostała się do Sejmu z wynikiem 6,81%. Sam Braun został posłem na Sejm RP. W



Grzegorz Braun – Niepokojący ekscentryk czy przyszłość Polski?

”Przez ostatnie trzy lata regularnie zrywa flagi Ukrainy wywieszane w geście solidarności. W 2023 roku zgasił gaśnicą chanukiję wystawioną w Sejmie. To jednak nie te ekscesy doprowadziły do rozpadu sojuszu Brauna z Konfederacją. Powodem był jego start w tegorocznych wyborach przeciwko Mentzenowi.

tej roli robił wiele, by nie pozwolić o sobie zapomnieć. W trakcie pandemii COVID-19 szerzył o niej teorie spiskowe i groził Adamowi Niedzielskiemu śmiercią. Po napaści Rosji na Ukrainę w 2022 roku żądał od władz, by nie otwierały granic dla uchodźców. Przez ostatnie trzy lata regularnie zrywa flagi Ukrainy wy-

wieszane w geście solidarności. W 2023 roku zgasił gaśnicą chanukiję wystawioną w Sejmie. To jednak nie te ekscesy doprowadziły do rozpadu sojuszu Brauna z Konfederacją. Powodem był jego start w tegorocznych wyborach przeciwko Mentzenowi. Jak jednak pokazały wyniki głosowania, zerwanie z łagodniej-

szym skrzydłem Konfederacji nie musi oznaczać końca jego kariery. Wręcz przeciwnie – może to być dla niego nowy początek.

Marsz ku władzy?

Rozwiązanie tajemnicy poparcia Brauna jest kluczowe dla zrozumienia tego, co może czekać Polskę. Być może za dwa lata zdoła on stworzyć klub sejmowy. Już w tej kadencji jego formacja utworzyła koło w Sejmie. W tych okolicznościach zwróciliśmy się z prośbą o komentarz do profesora Piotra Foreckiego z WNPiD UAM, eksperta w dziedzinie badań nad dyskursem antysemickim i polskim nacjonalizmem.

Badacz wskazuje na możliwy do zaobserwowania przehyt polskiej sceny politycznej na prawo – Obserwujemy postępujące przechylenie polskiej sceny politycznej na prawo. To przechodzenie na prawą stronę jest obserwowaną od kilku lat tendencją. Procesem widocznym w ramach tzw. liberalnego centrum, które zaczyna mówić językiem prawicy, powieli jej retorykę, co słychać zwłaszcza w odniesieniu do migrantów oraz Ukraińców i Ukrainek. Podkreśla, że – Jeżeli wszyscy ciążą ku prawej stronie, to stwarza to korzystne warunki dla radykałów jeszcze bardziej na prawo od tych pozornie umiarkowanych. To idealne miejsce dla Grzegorza Brauna, który nie przebiera w słowach i czynach, pozycjonuje się w roli głosu narodu jako uosobienie kluczowych dla niego bogoojęzyżnianych wartości. – Zaskakująco wysoki wynik Grzegorza Brauna pokazuje, że antysemityzm, rasizm, homofobia i mizoginia, sporej części wyborców i wyborczyń nie tylko nie przeszkadzają, ale stanowią pakiet, na który istnieje zapotrzebowanie – wyjaśnia prof. Forecki.

Dlaczego dopiero teraz działania tego polityka spotykają się z jakąkolwiek instytucjonalną reakcją? Zdaniem prof. Foreckiego – Braun został stworzony przez resztę sceny politycznej w tym znaczeniu, że bardzo długo uchodziło mu na sucho wiele różnych słów i wybrków, w tym publiczne posługiwanie się przemocą. Jej symbolem stała się gaśnica, którą Braun uczynił swoim znakiem rozpoznawczym, osobliwym logo, bo przemoc postanowił uprawomocnić. No i jakoś nie przeszkadzało to rozmaitym politykom w podawaniu mu ręki, uznawaniu za partnera do rozmowy. Na ostracyzm nie skazali go także dziennikarze, którzy umożliwiali mu publicznie zabierać głos, nie otoczyli go kordonem sanitarnym. A przecież gdyby nie ta pobłażliwość oraz opieszałość organów ścigania, to całkiem możliwe, że Braun w ogóle nie mógłby wziąć udziału w wyborach na urząd Prezydenta RP. Prokuratura i sądy również zawiodły – zaznacza Forecki.

Profesor uważa, że na tę chwilę zdobycie realnej władzy przez Brauna jest mało prawdopodobne, chociaż rezultat wyborów prezydenckich doprowadzi do niewątpliwego wzmocnienia jego ugrupowania. Braun jest ewenementem na polskiej scenie politycznej. Jego działalność obnaża słabość III RP – klasie politycznej brakuje determinacji w obronie ideałów leżących u podstaw polskiej demokracji. Czy polskie centrum przebudzi się na czas? A może Braun zbuduje swoje reakcyjne królestwo? Na odpowiedź musimy czekać z niepokojem.



Grzegorz Braun dał się poznać jako zwolennik teorii spiskowych.

Oskar KMAK

Donald Trump zapytany przez dziennikarzy o wybór nowego papieża stwierdził, że sam z chęcią by nim został. To – z oczywistych względów – nie wydarzyło się, ale w słowach prezydenta USA można doszukiwać się pewnego pierwiastka proroctwa. Kilka dni później biały dym zwiastował wybór jego rodaka. Amerykanin o bogatej biografii i duszpasterskiej wrażliwości deklaruje ambicję połączenia Franciszkowej otwartości z instytucjonalnym autorytetem sprzed dekad. Czy to ostatnia próba odzyskania wpływów przez Kościół?

Gdy biały dym uniósł się nad Kaplicą Sykstyńską, świat wstrzymał oddech. Po dwóch dniach intensywnych obrad kardynałowie wybrali 267. następcę św. Piotra. Ku zaskoczeniu wielu nowym papieżem został Robert Francis Prevost – Amerykanin urodzony w Chicago, były augustianin, misjonarz w Peru, a ostatnio prefekt Dykasterii ds. Biskupów. Przyjmując imię Leon XIV, sięgnął po dziedzictwo Leona XIII – papieża nowoczesnej myśli społecznej. Symboliczny wybór? Zdecydowanie. I sygnał: Watykan wraca do gry.

Obecny nowy Biskup Rzymu różni się znacznie od swojego poprzednika – nie tyle poglądami, ile temperamentem i podejściem do władzy. Franciszek, pierwszy papież spoza Europy od ponad tysiąca lat, był reformatorem o pastoralnym sercu. Jego pontyfikat koncentrował się na otwarciu Kościoła na peryferie, trosce o ubogich, ekologię i inkluzyjność. Bergoglio odrzucał dworskość kurii, podróżował do miejsc zapomnianych przez świat i prowokował debatę teologiczną wokół tematów dotąd przemilczanych – kobiet w Kościele, społeczności LGBT+, decentralizacji władzy. Leon XIV jest inny. Jako przełożony augustianów, biskup w Peru i urzędnik watykański, przez lata łączył misjonarską wrażliwość z umiejętnościami zarządczymi. Nie jest ani wyraźnym konserwatystą, ani liberałem – to człowiek równowagi. Ma jednak coś, czego brakowało Franciszkowi – doświadczenie instytucjonalne i zdolność do podejmowania twardych decyzji bez uciekania się do retoryki rewolucji. To uczyniło z niego idealnego kandydata dla tych kardynałów, którzy chcieli „kontynuacji bez kontro-

Nowa Kontrreformacja czy czas stagnacji?



Nowy papież postara się przywrócić stary blask Kościołowi.

”Czy to powrót do przeszłości, czy krok ku przyszłości? Jeszcze za wcześnie, by oceniać. Ale jedno jest pewne – pontyfikat Leona XIV może być ostatnią próbą pogodzenia duchowej misji Kościoła z realiami XXI wieku. Jeśli Franciszek był głosem sumienia w czasach chaosu, to Leon XIV chce być rozjemcą i strategiem w epoce narastających napięć. Zamiast rewolucji – konsolidacja. Zamiast prowokacji – mediacja. Zamiast gestów – struktury.

wersji”. Jego wybór nie był jednak oczywisty. Przed konklawe często wspomniano o nazwiskach kardynałów z Afryki (np. Turkson), Europy Środkowej (Erdő) czy Ameryki Łacińskiej (Maradiaga, Tagle). Prevost był kandydatem środka, ale jego spokojna siła i umiarkowanie zyskały poparcie dwóch kluczo-

wych bloków: reformatorów i umiarkowanych konserwatystów.

Nowy-stary kierunek

Już w pierwszym wystąpieniu jako papież Leon XIV zaanonsował swoją wizję pontyfikatu: „Kościół nie może bać się ani świata, ani samego siebie. Musi być światłem, ale

i znakiem sprzeciwu”. Ta celowo dwuznaczna fraza, może oznaczać nowy styl papieskiego rządzenia – bardziej zdecydowany niż u Franciszka, ale bez cofania reform. Prevost nie ukrywa, że chce przywrócić Watykanowi większy wpływ globalny – nie tylko w wymiarze duchowym, lecz także geopolitycznym. Nieprzypadkowo już w pierwszych dniach pontyfikatu spotkał się z ambasadorami największych państw i zapowiedział stworzenie nowego Sekretariatu ds. Globalnego Dialogu – instytucji mającej łączyć religię i wpływać na procesy pokojowe. Czy to oznacza powrót do modelu papieństwa jako globalnego rozgrywającego? Tak i nie. Franciszek zdecentralizował Kościół, dając konferencjom episkopatów większą autonomię. Leon XIV nie zamierza tego odwracać, ale jednocześnie chce przywró-

cić centralny autorytet Stolicy Apostolskiej w kluczowych kwestiach moralnych i politycznych – wojnach, migracjach, kryzysie klimatycznym, sztucznej inteligencji. Już samo to wystarczyło, by zaczęto mówić o nowej wizji papieństwa – bardziej technokratycznej, mniej sentymentalnej. Ale czy Kościół – tak bardzo zróżnicowany, rozchwiany i zmęczony kryzysami – jest gotowy na powrót do silnego centrum? Hasło „Make Vatican Great Again” nie jest tylko publicystycznym żartem. Nawiazuje do tęsknoty za czasami, gdy papież mieli realny wpływ na światowy porządek, a nie byli jedynie moralnym sumieniem świata. Sam Prevost nie posługuje się tym językiem, ale jego działania – reorganizacja Kurii, porządki personalne, zapowiedzi nowej konstytucji duszpasterskiej wskazują na silną wolę odnowienia roli Watykanu jako centrum katolickiego świata.

Jego pontyfikat może też oznaczać większy nacisk na formację biskupów i księży. Prevost, jako były prefekt Dykasterii ds. Biskupów, dobrze zna patologie nękaące lokalne Kościoły: karierowiczostwo, brak duchowości, ideologiczne polaryzacje. W ramach jednej z pierwszych decyzji jako papież ogłosił ogólnoswiatowy program odnowy duchowieństwa – formacyjnej, psychologicznej i intelektualnej. To ambitne, ale potrzebne. Różnice między Franciszkiem a Leonem XIV nie są radykalne, ale znaczące. Bergoglio chciał, by Kościół był „szpitalem polowym” – miejscem leczenia ran. Prevost wydaje się chcieć uczynić go znowu „miastem na górze”: silnym, zorganizowanym, wpływowym. To wizja, która może zyskać poparcie w Afryce i Azji – tam, gdzie Kościół rośnie i potrzebuje struktur – lecz budzić sceptycyzm w zachodniej Europie, gdzie instytucjonalny autorytet jest w odwrocie.

Czy to powrót do przeszłości, czy krok ku przyszłości? Jeszcze za wcześnie, by oceniać. Ale jedno jest pewne – pontyfikat Leona XIV może być ostatnią próbą pogodzenia duchowej misji Kościoła z realiami XXI wieku. Jeśli Franciszek był głosem sumienia w czasach chaosu, to Leon XIV chce być rozjemcą i strategiem w epoce narastających napięć. Zamiast rewolucji – konsolidacja. Zamiast prowokacji – mediacja. Zamiast gestów – struktury. Jeśli się uda, Watykan może odzyskać autorytet wśród konserwatystów, którym pontyfikat Franciszka wydawał się zbyt radykalny. Jeśli nie – pozostanie symbolem czasów minionych, które próbowały wrócić, ale nie miały już dokąd.

Oliwia MAZIOPA



Leon XIV wyznaczył wyraźny kierunek swojego pontyfikatu.

Historia kultowego kowboja

Podczas niedawno zakończonej kampanii prezydenckiej tradycyjnie nie zabrakło banerów wyborczych kandydatów. Gdybyśmy jednak mieli sięgnąć pamięcią do afiszu, który odbił się największym echem, cofnęlibyśmy się do 1989 roku.

Dlaczego Gary Cooper stał się symbolem zwycięstwa Solidarności? Z jakimi konsekwencjami spotkał się autor – Tomasz Sarnecki? Z okazji przypadającej w czerwcu 36. rocznicy pierwszych, częściowo wolnych wyborów w powojennej Polsce, przytaczamy dzieje plakatu „W samo południe”.



Kowboj stał się symbolem pierwszych częściowo wolnych wyborów.

Rysunek i grafika są moją pasją i za miłowaniem... Wiem, na ile mnie jeszcze stać, wiem, że tylko w tej dziedzinie dam społeczeństwu maksimum pracy i jej efektów” – tak pisał do rektora Akademii Sztuk Pięknych w 1986 roku Sarnecki. Był to fragment jego odwołania, kiedy dowiedział się, że nie uzyskał pozytywnego wyniku rekrutacji na wymarzony kierunek studiów. Trzy lata później – w roku pierwszych, częściowo wolnych wyborów w Polsce, był już studentem III roku Wydziału Grafiki warszawskiego ASP. Prowadził Dyskusyjny Klub Filmowy i robił plakaty do filmów, od polityki jednak raczej stronił. Wkrótce na horyzoncie pojawił się wyraźny impuls do zmiany – Sarnecki obejrzał debatę między Lechem Wałęsą i Alfredem Miodowiczem. Zainspirowało go to do stworzenia plakatu. Początkowo prezentował on napis „Solidarność” z wizerunkiem małego milicjanta na dole. Następnie – na wzór popularnego wówczas niemieckiego pisma młodzieżowego „Bravo” – wyrysowaną ołówkiem twarz Lecha Wałęsy opatrzył sloganem „Bravo Lech”. Ostatecznie wybrał kowboja.

Plakat na czwórkę

Gary Cooper został wybrany ze względu na swoją ówczesną rozpoznawalność. Western „W samo południe” był bardzo częstym elementem telewizyjnej ramówki. Każdy go kojarzył, nie był też skorelowany z żadną partią, wzbudzał pozytywne odczucia i skojarzenia. Po zaprojektowaniu finalnej wersji Sarnecki sporządził cztery kopie i chodził z nimi, gdzie się dało. Po po-

”Oprócz walki o prawa autorskie Sarnecki miał również swój moment chwały. W 1999 roku plakat został zaprezentowany w Victoria and Albert Museum w Londynie. Później stał się też elementem wystawy w Autry Museum of Western Heritage w Los Angeles. Dwa lata przed wejściem w nowe millenium „W samo południe” zostało zakwalifikowane do wystawy stu najważniejszych plakatów XX wieku.

czątkowych niepowodzeniach i odmowach, jego pomysł zaakceptowali dziennikarka Janina Jankowska i sekretarz Komitetu Obywatelskiego – Henryk Wujec. Plakaty pojawiły się w całym kraju. W powyborczym tygodniu na uczelni autora kończyła się sesja egzaminacyjna. Niemal wszystkie egzaminy zaliczył na pięć. Wyjątek stanowiło zaliczenie z... pla-

katu u profesora Macieja Urbańca, u którego dostał czwórkę.

27 tysięcy zwycięstwa

Sarnecki nie wziął za swoją pracę żadnego wynagrodzenia pieniężnego. Sądził, że byłoby to niemoralne i karygodne, bo wówczas liczył się każdy grosz. Podpisał jedynie z Komitetem Obywatelskim umowę o

dzieło, która wyraźnie podkreślała, że prawa autorskie pozostają przy artyście. Krótco po 4 czerwca 1989 roku masowo zaczęto rozpowszechniać naklejki, ulotki i tysiące kopii z grafiką, którą stworzył. Autor zaczął badać, ile handlarze na tym zarabiają. Szło o kwoty nawet czterech tysięcy za jeden przedmiot z użytą ilustracją. Klimat transformacji sprawił, że nie poruszył wówczas tej kwestii. Dekadę później okładka „Polityki” sprawiła, że coś w nim pękło. Z okazji 10. rocznicy pierwszej częściowo wolnej elekcji opublikowano raport specjalny, okraszony niepodpisany plakatem. Redaktery gazety pozbawili kowboja napisów, zostawiając jedynie kartkę wyborczą i plaketkę „S”. Po interwencji redakcja przyznała, że na okładce pojawił się fragment znanego dzieła i poinformowała, kto jest jego twórcą.



Również PZPR prowadziła aktywną agitację w plenerze.

Nie zadowolilo to jednak Sarneckiego – oczekiwał honorarium. Sprawa trafiła do sądu. Początkowo wnoszono o oddalenie powództwa – twierdzono, że kowboj jest „fotografią maski artystycznej Gary’ego Coopera”. Tłumaczono, że jest to wykorzystanie prawa cytatu. Afera została rozstrzygnięta 26 sierpnia 2002 roku, kiedy to Sąd Okręgowy w Warszawie orzekł o naruszeniu praw autorskich, osobistych i majątkowych grafika. Zasądzono przelew w wysokości 27 830 złotych z odsetkami.

On wrócił

„Polityka” stosunkowo szybko pozbięła się po zapłacie odszkodowania, bo już w 2003 roku Gary Cooper powrócił na jej okładkę. Tym razem za plecami miał napis „Europa-tak” – chodziło oczywiście o referendum unijne. Rok później, podobna do kowboja postać wspierała Pomarańczową Rewolucję na Ukrainie. W 2013 roku namawiała natomiast do głosowania w sprawie odwołania ze stanowiska prezydentki Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz. Trzy lata później podczas wyborów samorządowych, po modyfikacji główny element plakatu Sarneckiego powrócił na pierwszą stronę „Polityki” i „Tygodnika Powszechnego”. Dla zmarłego w 2017 roku autora nie było to upamiętnienie, o które mu chodziło.

Słońce zaszło rok później

Każda kolejna rocznica wyborów czerwcowych była równoznaczna z przywoływaniem tego plakatu i przypomnieniem wielkiego wpływu, jaki wywarł na politykę i kulturę. Bardzo często przy tej okazji powracało jednak jeszcze jedno hasło: „Zachodźcie czerwone słońce”. Był to slogan z baneru Macieja Buszewicza, chcącego zaktywizować obywateli do głosowania w wyborach samorządowych, które odbyły się rok po kontraktowych. Bliskość obu tych wydarzeń sprawiła, że czerwone słońce jest często mylnie kojarzone jako element propagandowy z 1989 roku.

Oprócz walki o prawa autorskie Sarnecki miał również swój moment chwały. W 1999 roku plakat został zaprezentowany w Victoria and Albert Museum w Londynie. Później stał się też elementem wystawy w Autry Museum of Western Heritage w Los Angeles. Dwa lata przed wejściem w nowe millenium „W samo południe” zostało zakwalifikowane do wystawy stu najważniejszych plakatów XX wieku. Janusz Tazbir w swoim artykule „Kamienie milowe polskiej świadomości historycznej” przedstawił pięć ikonicznych arcydzieł, które mogły stanowić przełom dla polskiej kultury. Obok Drzwi Gnieźnieńskich i obrazu „Rejtan. Upadek Polski” Jana Matejki wskazał plakat najsłynniejszego polskiego grafika XX wieku.

Julia ZYGMUNT

Nasi dawni sąsiedzi (za czasów II RP graniczyliśmy z Rumunią) przeżyli w ostatnich miesiącach kilka dramatycznych wstrząsów w obrębie zagmatwanego, politycznego pejzażu. Jak wygląda sytuacja w Rumunii po wygranych przez Nicușora Dana wyborach prezydenckich? Skąd tak duże poparcie dla prorosyjskiego i skrajnie prawicowego George’a Simiona, który uzyskał najlepszy rezultat w pierwszej turze?

Nowy prezydent Rumunii ma sporo wspólnego z Rafałem Trzaskowskim. Nicușor Dan jest od niego starszy jedynie o trzy lata, podobnie jak Trzaskowski pełnił również funkcję wieloletniego wóldarza stolicy kraju. Obu panów łączy również doświadczenie studiów za granicą oraz proeuropejskie, centrowo-liberalne poglądy. Zarówno Dan, jak i Trzaskowski stanęli w wyborczej walce naprzeciwko kandydatów reprezentujących eurosceptycyzm, skrajny konserwatyzm oraz mogących „pochwalić się” delikatnie rzecz biorąc budzącymi zastrzeżenia życiorysami. Rezultaty prezydenckich starć centrum z prawicą były jednak w przypadku obu krajów inne.

Dlaczego Rumuni zmobilizowali się przeciwko kandydującemu z ramienia nacjonalistycznej partii AUR George’owi Simionowi, a Rafał Trzaskowski został pokonany przez budzącego liczne kontrowersje Karola Nawrockiego? Na istotne podobieństwa i różnice w przebiegu wyborów prezydenckich w Polsce i w Rumunii zwrócił uwagę mgr Artur Lorek, politolog z WNPiD UAM, specjalizujący się, między innymi, w zakresie stosunków międzynarodowych i ustroju państw Europy Środkowej i Wschodniej – w obu przypadkach mieliśmy do czynienia z ostrą polaryzacją, wysoką stawką geopolityczną oraz starciem kandydata prozachodniego z reprezentantem nurtów nacjonalistyczno-populistycznych. W obu krajach kluczowe były kwestie relacji z UE, stosunku do Ukrainy oraz kierunku modernizacji państwa, przy czym kolejność tych zagadnień to nie hierarchia. Istotną okazała się mobilizacja młodszych wyborców i diaspory – choć z różnym skutkiem. W Rumunii centrowa koalicja była w stanie się zjednoczyć wokół jednego kandydata, w Polsce przeciwnie – rozdrobnienie i brak jasnej strategii osłabiły Trzaskowskiego – podkreślił ekspert. Mgr Lorek wskazał również na kolejny czynnik, który jego zdaniem, pomógł

Rumuńska karuzela



Prezydent Dan pełnił do niedawna funkcję burmistrza rumuńskiej stolicy, Bukaresztu

Danowi zwyciężyć – Rumunia doświadczyła wcześniej prób instrumentalizacji państwa przez nacjonalistów, co uczuliło społeczeństwo – stwierdził.

Jak doszło do tego, że George Simion o mały włos zostałby prezydentem Rumunii? Skąd wzięła się popularność partii AUR? Zanim Simion zmierzył się z Danem w drugiej turze, rumuńska prawica upatrywała swojej nadziei w Călinie Georgescu, kandydacie który niespodziewanie przeszedł do drugiej tury w wyborach prezydenckich przeprowadzonych na przełomie listopada i grudnia ubiegłego roku. Wybory zostały

” Jaka przyszłość czeka Rumunię? Czy prezydentura Dana okaże się tylko przystankiem w drodze skrajnej prawicy po władzę? Bianca, chociaż podczas kampanii odczuwała nieraz stres, lęk i silny zawód, stara się być optymistką. Dan nie był jej wymarzoną kandydatką, lecz zdecydowała się go poprzeć, między innymi, ze względu na perspektywę dalszej współpracy Rumunii z partnerami w ramach UE i NATO – organizacjami wielokrotnie krytykowanymi przez Simiona.

jednak unieważnione, ze względu na rosyjskie ingerencje a samemu Georgescu zakazano ponownego startu.

Podobnie jak w Polsce, także w Rumunii skrajna prawica szczególnie popularnością cieszy się wśród mieszkańców prowincjonalnych

ośrodków, wsi, osób mniej zaможnych i słabiej wykształconych, z przewagą wyborców płci męskiej. Jak zauważył mgr Lorek – Popularność AUR i Simiona wynika z kombinacji frustracji społecznych, peryferyjnego wykluczenia i kryzysu reprezentacji elit. Jego elektorat to głównie młodzi mężczyźni z mniejszych miast i regionów zaniedbanych gospodarczo, często z doświadczeniem emigracyjnym. Istotną kwestią dla elektoratu AUR jest również wymierzona w obcokrajowców i sąsiednie kraje i narody retoryka, przyjmująca również postać ataków na Unię Europejską. Licznie zamieszkujący niektóre regiony kraju Węgrzy, pomimo bycia politycznym „oczkiem w głowie” Viktora Orbána, zdystansowali się od Simiona i rumuńskiej skrajnej prawicy.

O polityczno-społeczny pejzaż na rumuńskiej prowincji zapytałem Biankę Man, 24-letnią księgową pochodzącą z liczącego niecałe 150 tys. mieszkańców miasta Arad – lokalnego ośrodka w pobliżu granicy z Węgrami i Serbią – unieważnienie wyborów wywołało wiele reakcji i pogłębiło polaryzację między zwolennikami partii tradycyjnych i liberalnych, zwłaszcza w mediach społecznościowych. Ludzie są rozczarowani i stracili wiarę w to, że prawdziwa zmiana jest możliwa lub że ich głos naprawdę się liczy – podzieliła się. Bianca dodała, że większość jej znajomych, odczuła pewnego rodzaju ulgę na wieść o wyniku wyborów. Jednocześnie podkreśliła, że – wielu nie czuje się w pełni reprezentowanych przez wybranego prezydenta, lecz i tak uważają, że jest on lepszą alternatywą dla postępu Rumunii.

Jaka przyszłość czeka Rumunię? Czy prezydentura Dana okaże się tylko przystankiem w drodze skrajnej prawicy po władzę? Bianca, chociaż podczas kampanii odczuwała nieraz stres, lęk i silny zawód, stara się być optymistką. Dan nie był jej wymarzoną kandydatką, lecz zdecydowała się go poprzeć, między innymi, ze względu na perspektywę dalszej współpracy Rumunii z partnerami w ramach UE i NATO – organizacjami wielokrotnie krytykowanymi przez Simiona.

Rumunia stoi dzisiaj na rozdrożu – z jednej strony to kraj z ogromnym potencjałem gospodarczym – dynamicznie rozwinięły się tam sektory informatyczne, motoryzacyjne i turystyka z drugiej trapią ją instytucjonalne wyzwania, takie jak niski poziom partycypacji społecznej obywateli i zaufania do nierazko skorumpowanych instytucji państwa. Jak podkreślił mgr Lorek – sukces Rumunii zależy od zdolności pogodzenia aspiracji modernizacyjnych z rosnącymi napięciami społecznymi. Dan musi zbudować stabilną grupę wspierającą swój program, bez wykluczania ugrupowań centrowych, ale z dystansem wobec populistów.



Skrajnie prawicowy kandydat z ramienia partii AUR uzyskał poparcie znacznej części wyborców i wyborczyń w Rumunii

Kacper ZIELENIAK

Wyremontować drogę? Na razie nie ma funduszy. Zbudować nowy dworzec? Może być trudno. Obecne czasy zmuszają do wieloletniego czekania na zmiany. A co, jeśli by wyjść z propozycją wykopania jeziora w centrum miasta? Mało kto zostałby z takim konceptem potraktowany poważnie. Zerkając jednak w przeszłość, takie rzeczy się zdarzały. Właśnie w ten sposób powstało Jezioro Maltańskie. Jak się okazuje, kiedyś nawet tak silne nagięcie natury do ludzkiej woli nie było w Wielkopolsce niemożliwe.

Od jutra **będzie tu jezioro**



Z powodu suszy Jezioro Maltańskie mierzy się obecnie z problemami hydrologicznymi

„Dziś zielone płuca Poznania, bo tak nazywa się Maltę, wymagają czyszczenia co cztery lata. To czas odnajdywania na dnie przeróżnych skarbów. Dzięki temu jednak mamy gwarancję, że płuca nie przerodzą się ponownie w bagno, a zamiast odstraszać zapachem – jezioro będzie przyciągało zarówno poznaniaków, jak i turystów.

Tokarska, która całe dzieciństwo spędziła na ówczesnej Maltce, z żalem wspomina w swojej książce: „Jak zaczęły się wykopy, to dzieci tam nie dopuszczano. Miejscowi żalowali, że ten piękny teren uprawny będzie zalany. Gdy powstało jezioro, to nie było już to samo miejsce”. Jak to bywa w przypadku wielkich przedsięwzięć, zdanie mieszkańców znaczy raczej

mało, a tym bardziej zdanie dzieci. Tak więc już niedługo plac zabaw małej Lidii miał w całości zniknąć pod wodą.

Zamiast dołu będzie góra

Wielkie inwestycje bywają wielkim rozczarowaniem. Architekt Władysław Czarnecki, legenda poznańskiej urbanistyki, przed wojną współtworzył nowoczesny

projekt tzw. Parku Narodowego. Znaleźć miało się w nim wszystko – jezioro, teatry, boiska, korty, domy wypoczynkowe, a całość przypieczętować miał Kopiec Wolności. Zamiast tego całego zestawu przed wojną zdążył pojawić się jedynie Kopiec. Plany jeziora zostały odłożone w czasie, najpierw z powodu Wielkiego Kryzysu, potem – zbrojnego ataku III Rzeszy na Polskę. W czasie II wojny światowej Niemcy postanowili częściowo zaopiekować się projektem, robiąc to za pośrednictwem rąk Polaków, w tym Żydów, przebywających w przymusowych obozach pracy. Udało się im jednak wykopać zbiornik ledwo nadający się do czegośkolwiek. I tak już mogłoby pozostać, gdyby nie pomysł grupki osób pod koniec lat 40. XX wieku.

Za sprawą harcerzy w 1952 roku, w ramach pięknego czynu społecznego, jezioro było gotowe do użytku. Było to wielkie święto dla Poznania. Władze miasta zdawały się wtedy mówić: „Jezioro w centrum miasta – dla władzy ludowej nie ma rzeczy niemożliwych”.

Ściek maltański

Lata 60. to prawdziwy szczyt formy Jeziora Maltańskiego. Odbывały się tu sławne na całą Europę regaty, a miasto zyskało to, na czym mu zależało – rozgłos i zyski finansowe. Tuż po tym zaczęło się jednak dziać z akwenem coraz gorzej. W 1982 roku jezioro znajdowało się już w tragicznym stanie. Przypominało śmierdzący ściek i porastała je półtorametrowa trzcina. Mieszkańcy omijali ten obszar ze względu na bijącą od niego nieprzyjemną woń. Ówczesny prezydent Poznania, Andrzej Wituski, temat Malty zapisał sobie drukowanymi literami. Znalazł się więc architekt – Klemens Mikuła – i przystąpił do oceny szans na ratunek dla jeziora. Okazało się, że trzeba wybrać z niego milion metrów sześciennych ziemi. „To tak, jakbyśmy zasypali cały Stary Rynek i jeszcze usypali górę wyższą o 25 metrów od Wieży Ratuszowej” – pisał w swojej książce. Zaczęło się robić nerwowo, bo prace nadal trwały, a za dziewięć dni miały się odbyć wielkie regaty. „Czy ktokolwiek może zagwarantować, że widzowie, którzy zechcą przyjść na mistrzostwa świata, nie utoną w błocie, tak jak to niestety dzisiaj jeszcze jest? – pytał oburzony dziennikarz „Gazety Poznańskiej”. Pośpiech był kosmiczny. Architekt sam do końca nie wierzył, że to wszystko może się udać. „Pracowaliśmy non stop, wszyscy byli na placu budowy. Patrzyliśmy na to i mówiliśmy: nic już nas nie uratuje. Jutro mistrzostw nie będzie. Teraz to już chyba pozostało nam tylko się napić” – wspominał w książce „Historie warte Poznania” jeden z przyjaciół Klemensa Mitoły. Finalnie udało się, rzutem na taśmę. „Głos Wielkopolski” relacjonował całe wydarzenie jako cud nad Maltą. I rzeczywiście, w dziewięć dni z bagna uczyniono jezioro – to musiał być cud.

Dziś zielone płuca Poznania, bo tak nazywa się Maltę, wymagają czyszczenia co cztery lata. To czas odnajdywania na dnie przeróżnych skarbów. Dzięki temu jednak mamy gwarancję, że płuca nie przerodzą się ponownie w bagno, a zamiast odstraszać zapachem – jezioro będzie przyciągało zarówno poznaniaków, jak i turystów. Bo dzięki niemu, podróż na Maltę jest dużo krótsza, a zamiast samolotu – wystarczy tramwaj.

Kacper LAWIŃSKI



Dziś jezioro przyciąga turystów, lecz w czasach komunizmu odpychało swoim zapachem.

Dlaczego Malta, a nie Majorka? Odpowiedź znajdziemy, cofając się 800 lat. Sprawcą całego ambarasu był książę Mieszko III Stary, usiłujący uregulować kwestię służby medycznej w swym wielkopolskim władztwie. W tym celu sprowadził na nasze ziemie zakon zajmujący się medycyną i opieką nad szpitalami, a byli to joannici, nazywani w późniejszych wiekach Kawalerami Maltańskimi. Stąd też w kolejnych wiekach pojawiła się potoczna nazwa Malta, od śródziemnomorskiej wyspy-twierdzy Zakonu. Może joannici nie wybudowali jeziora, ale za to wzniesli kościół, do dziś widoczny tuż przy Rondzie Śródka. Historia jeziora zaczęła się znacznie później.

Zalali mi plac zabaw!

„Urządzano tu majówki, witano wiosnę, w 1909 r. celebrowano 100. rocznicę urodzin Juliusza Słowackiego” – taki opis Malty możemy przeczytać na stronie sir.poznan.pl. Miejsce nieopodal Ostrowa Tumskiego pełniło w zasadzie każdą funkcję. Rozległy teren był wielką łąką, obfitował w kwiaty, stare cmentarze, stawy i młyny. Czysta sielanka. Był czymś, co można było określić jako „wszystko i nie”. Co ciekawe, przez teren przyszłego akwenu przejeżdżała Średzka Kolej Powiatowa, zatrzymując się m.in. na stacjach Malta i Brama Warszawska. Współcześnie, po spuszczeniu wody ze zbiornika, można nadal zobaczyć pozostałości po trasie kolejowej – resztki torów czy mostu. Za to nikomu, kto na początku XX wieku spacerował tam z psem, nie przychodziło do głowy, że już za 20 lat wjadą tu koparki, by rozpocząć jedną z największych inwestycji w historii Poznania. Lidia

Muzyczny kult i inspiracja dla innych

Wśród najbardziej rozpoznawalnych polskich formacji muzycznych nie sposób pominąć tej, która znacząco wpłynęła na rozwój alternatywnego rocka w Polsce. Mowa oczywiście o grupie Myslovitz, której historia wciąż wzbudza ogromne zainteresowanie. Bywa ona niesłusznie kojarzona wyłącznie z charyzmatycznym Arturem Rojkiem, który od ponad dekad nie jest już jej członkiem. Nadal jednak aktywnie działa na scenie muzycznej, a w tym roku bierze udział w festiwalu organizowanym przez Dawida Podsiadło.

Artur Rojek, Wojciech Powaga, Jacek oraz Wojciech Kuderscy to nazwiska dobrze znane każdemu Polakowi, który choć trochę interesuje się muzyką rockową. Z kolei „Długość dźwięku samotności” to utwór, który zna w naszym kraju niemal każdy – niezależnie od muzycznych preferencji. Zespół odpowiedzialny za ten przebój powstał w 1992 roku pod nazwą The Freshman. Lider grupy – Artur Rojek, pochodzi z Mysłowic. W latach 70. XX wieku popularnym trendem wśród rockowych formacji było tworzenie nazw inspirowanych rodzinnymi miejscowościami. Tak więc narodziła się nowa nazwa zespołu, która funkcjonuje do dziś – Myslovitz.

Już w pierwszych latach działalności zespół spotkał się z dużym uznaniem. Początkowo doceniany jedynie przez lokalną społeczność, szybko zdobył popularność na ogólnopolskiej scenie muzycznej. W 1995 roku grupa wydała swój debiutancki album zatytułowany „Myslovitz”, który zapoczątkował nowy rozdział w historii polskiego rocka. Przyczynił się do rozwoju alternatywnego stylu tego gatunku muzycznego. W kolejnych latach członkowie zespołu intensywnie koncertowali, rozwijali swoje brzmienie i eksperymentowali z formą. Po serii pierwszych koncertów i odniesieniu znaczących sukcesów, grupa rozpoczęła intensywną pracę nad następnymi płytami. W kolejnych latach ukazały się entuzjastycznie przyjęte albumy „Sun Machine” oraz „Z rozmyślań przy śniadaniu”. Już od pierwszych lat istnienia muzyka Myslovitz zys-



Były lider zespołu Myslovitz – Artur Rojek

„Odejście Artura Rojka z zespołu nie oznaczało dla niego końca kariery muzycznej – wręcz przeciwnie, stało się nowym początkiem. Artysta postanowił skupić się na rozwoju osobistym oraz tworzeniu autorskich kompozycji, które pozwoliły mu w pełni wyrazić siebie.

kała miano ponadczasowej, a dziś uważana jest za kultową. Mowa tu o takich utworach jak „Z twarzą Marilyn Monroe” czy „Peggy Brown”, które stały się hymnami pokolenia dorastającego w latach 90. XX wieku.

W 1998 roku formacja nagrała swój pierwszy utwór wykorzystany w produkcji filmowej – „To nie był

film” pojawił się w dziele Jarosława Żamojdy „Młode Wilki”. Piosenka miała szczególne znaczenie, ponieważ jej tekst nawiązywał do zbrodni popełnianych w latach 90. przez młodocianych przestępców. Myslovitz, znany z wrażliwości społecznej i artystycznej uczciwości, nie bał się sięgać po trudne tematy, co jeszcze bardziej ugruntowało jego

pozycję jako świadomego i zaangażowanego zespołu.

Jednym z największych sukcesów grupy było wydanie albumu „Miłość w czasach popkultury” w 1999 roku ze wspomnianym już ponadczasowym dziełem – „Długość dźwięku samotności”, które okazało się mistrzowską kompozycją. Mimo że powstało ponad ćwierć wieku temu, wciąż pozostaje jedną z ulubionych piosenek wielu Polaków. Na platformie Spotify ma już ponad 50 milionów odtworzeń.

Czas na zmiany

Początek XXI wieku był prawdopodobnie najważniejszym okresem w historii działalności zespołu. To właśnie wtedy, krótko po wydaniu

przełomowego albumu „Miłość w czasach popkultury”, grupa osiągnęła szczyt popularności. Jednak nawet czas największych sukcesów nie był wolny od problemów. W 2012 roku z zespołu odszedł Artur Rojek – przez wielu uważany za lidera i twarz Myslovitz. Decyzja wokalisty wywołała zaskoczenie, tym bardziej że, jak sam przyznał, nie rozstał się z zespołem w przyjaznych okolicznościach – powodem były narastające konflikty wewnętrzne. Dla wielu fanów odejście Rojka oznaczało koniec pewnej epoki. Zespół, mimo wszystko, nie zawiesił działalności i kontynuował swoją muzyczną drogę. W 2019 roku nowym wokalistą został Mateusz Parzymięso, z którym grupa tworzy i występuje do dziś.

Odejście Artura Rojka z zespołu nie oznaczało dla niego końca kariery muzycznej – wręcz przeciwnie, stało się nowym początkiem. Artysta postanowił skupić się na rozwoju osobistym oraz tworzeniu autorskich kompozycji, które pozwoliły mu w pełni wyrazić siebie. Zaczął eksperymentować z brzmieniem, łącząc różne style i wpływy muzyczne.

Jego solowa twórczość zyskała bardziej alternatywny i nieoczywisty charakter, pełen emocji i osobistych refleksji. Inspirację czerpał z dokonania swoich ulubionych zespołów, takich jak Pink Floyd czy Pixies, co nadało jego muzyce głębi psychodelicznego charakteru. Rojek udowodnił, że potrafi odnaleźć się w nowej roli – jako niezależny artysta z wyrazistą wizją i indywidualnym stylem.

W 2022 roku Artur Rojek podjął współpracę z jedną z najbardziej wpływowych obecnie polskich gwiazd muzycznych – Dawidem Podsiadło. Były lider Myslovitz wystąpił gościnnie na jednym z jego koncertów, podczas którego wspólnie wykonali utwór „Długość dźwięku samotności”. W dniach 6 i 7 czerwca odbył się festiwal Dawida Podsiadła na terenie Malta Komandorii. Artysta zadbał o to, by koncertowali różnorodni wykonawcy muzyczni. Jednym z nich był właśnie Artur Rojek, który wspólnie z Podsiadłą zaprezentował utwory z czasów swojej twórczości w Myslovitz. Organizator festiwalu wielokrotnie przyznawał, że twórczość tego rockowego i kultowego zespołu miała ogromny wpływ na jego własną działalność. Wspólne występy Rojka i Podsiadły zostały entuzjastycznie przyjęte przez publiczność, która doceniła zarówno sentymentalny wymiar utworów, jak i nową aranżację. Wydarzenie to pokazało, że twórczość Myslovitz wciąż inspiruje kolejne pokolenia artystów i słuchaczy. Współpraca dwóch ikon polskiej sceny muzycznej podkreśliła ciągłość i rozwój muzyki alternatywnej.



Członkowie Myslovitz podczas jednego z koncertów

Małgorzata WALKOWIAK

Premiera najnowszego rozszerzenia do „Elden Ring”, czyli „Nightreign” odbyła się 30 maja.

Wzbudziła ogromne zainteresowanie fanów z całego świata, znów kierując ich uwagę na twórcę tego niesamowitego uniwersum – Hidetake Miyazakiego, który swoimi rozwiązaniami i wizją nadał powiewu świeżości branży gamingowej. To świetny moment, by przyjrzeć się bliżej autorowi tak unikalnych, kultowych, wymagających i mających znaczny wpływ na branżę tytułów, które zrewolucjonizowały gatunek gier akcji i RPG.

Hidetaka Miyazaki, pomimo swojej nikłej obecności medialnej i skromności, od lat wywołuje podziw w branży. To japoński reżyser, scenarzysta oraz projektant gier komputerowych wyróżniający się wybitną kreatywnością oraz filozofią twórczą. Zapisał się już na stałe w historii dzięki serii „Souls” czy znakomitym tytułom takim jak „Bloodborne”, „Sekiro: Shadows Die Twice”, czy właśnie „Elden Ring”. Jest prezesem studia FromSoftware, które od przejęcia przez niego kierownictwa w 2014 roku jest synonimem innowacyjności i niebotycznego poziomu trudności produkowanych gier. Ponadto wszystkie jego produkcje wyróżniają się unikalnym, zagadkowym podejściem do narracji i opowiadania historii oraz głębokim, mrocznym światem przedstawionym. Dzięki temu Miyazaki zyskał tytuł jednej z najbardziej wpływowych postaci w historii gier komputerowych. Jego kultowe już dzieła od samego początku inspirują innych twórców, co potwierdza fakt wykreowania się zupełnie nowego gatunku nazwanego „soulslike”, czyli tytułów, które swoją stylistyką bądź poziomem trudności znacznie czerpią z dzieł Miyazakiego.

Twórca urodził się 19 września 1974 roku w Shizuocie i początkowo nie planował kariery związanej z branżą gier. Jako dziecko uwielbiał wypożyczać z biblioteki mangi i książki. Dorastał w ubogiej rodzinie, więc zaraz po ukończeniu studiów podjął się pracy księgowego w korporacji z myślą o wsparciu finansowo swoich najbliższych. Nie spodziewany obrót wydarzeń nastąpił w wieku 29 lat, kiedy to zetknął się z grą „Ico”. Okazała się ona dla niego impulsem, aby zmienić swoje życie o 180 stopni i bez żadnego wcześniejszego doświad-



Japończyk zrewolucjonizował RPG akcji.

„Ciekawostką jest fakt, że mężczyzna nie chce, aby jego rodzina grała w jego gry, obawiając się, że zobaczą w nich jego ciemną stronę. Ponadto, co ciekawe, sam nie przechodzi swoich gier, uznając, że stanowią dla niego za duże wyzwanie i zwyczajnie nie jest w stanie mu podołać.

czenia zająć się projektowaniem gier. Na początku nikt nie wierzył w jego ewentualny sukces, w szczególności dlatego, że takie przebranżowienie w Japonii, gdzie liczy się stabilna pozycja, nie są zjawiskiem częstym i pozytywnie po-

strzegany. Postanowił spróbować swoich sił w firmie FromSoftware, w której w 2004 roku rozpoczął pracę jako planer przy serii „Armored Core”. Zaskakująco szybko zdobył uznanie przełożonych i awansował na stanowisko reżysera

kolejnych odsłon tej serii. To był jednak tylko początek jego kariery, która nabrała zawrotnego tempa w 2009 roku, gdy objął kierownictwo nad projektem „Demon’s Souls”. Początkowo, projekt był skazywany na porażkę, jednak został uratowany przez kreatywność oraz wizję Miyazakiego. Produkcja okazała się ogromnym sukcesem i stanowiła pierwszy kamień milowy w historii nowego gatunku.

„Demon’s Soul” wprowadził charakterystyczne dla Hidetaki rozwiązania oraz elementy. Tym, co grę wyróżniało, był wygórowany poziom trudności, klimatyczny

świat pełen niedopowiedzeń, jak również nielinearna narracja. Fabuła była raczej subtelnie podrzucona, czy to w opisach przedmiotów, czy w znalezionych notatkach. Było to jednak działanie intencjonalne. Kiedy w dzieciństwie Miyazaki zanurzał się w świat książek, wyrażał swoją wyobraźnię. Nie rozumiejąc anglojęzycznej literatury fantasy, zwyczajnie starał się domyślać, dopowiadać oraz wykreować własną wersję. W konsekwencji oczekiwał więc od graczy podobnego podejścia, co zaowocowało rzeszą oddanych fanów na całym świecie.

Sława nic nie zmienia

Po sukcesie tej gry powstała seria „Dark Souls”, która umocniła pozycję Japończyka jako wybitnego wizjonera i twórcy. Poza tym wyreżyserował także w 2015 roku „Bloodborne”, a w 2019 zajął się „Sekiro: Shadows Die Twice”. W ostatnich latach zyskał ponowny rozgłos za sprawą okrzykniętego grą roku 2022 „Elden Ring”, w której wszystkie swoje innowacje połączył z charakterystycznie mrocznym, otwartym światem. Za całokształt swoich osiągnięć otrzymał wiele prestiżowych nagród, takich jak Golden Joystick Award w 2018 roku oraz wyróżnienia na CEDEC Awards i Japan Game Awards. Podziw wzbudza fakt, iż mimo ogromnej sławy, pozostaje osobą skromną i nieśmiałą, rzadko udzielając wywiadów i starając się unikać większego rozgłosu.

Jego podejście do tworzenia gier cechuje niezwykła dbałość o detale i atmosferę. Miyazaki potrafi godzinami dyskutować o każdym elemencie świata – od architektury, przez projekt przeciwników, po mechanikę rozgrywki. To właśnie dzięki temu jego produkcje oferują głębokie, immersyjne doświadczenia, które pozostają w pamięci graczy na długo po zakończeniu zabawy. Ciekawostką jest fakt, że mężczyzna nie chce, aby jego rodzina grała w jego gry, obawiając się, że zobaczą w nich jego ciemną stronę. Ponadto, co ciekawe, sam nie przechodzi swoich gier, uznając, że stanowią dla niego za duże wyzwanie i zwyczajnie nie jest w stanie mu podołać. Pomimo sukcesów związanych z jego własnym gatunkiem, nie zamyka się tylko na niego. Jak przyznaje, marzy o stworzeniu niegdyś klasycznego japońskiego RPG-a. Hidetaka Miyazaki to wybitny artysta z głęboko zakorzoną kreatywnością, otwartością umysłu i wyjątkową wizją. Pewne jest, że już teraz zapisał się w historii branży, obok takich osób jak Hideo Kojima czy Shigeru Miyamoto oraz że każdy następny tytuł jego autorstwa będzie wzbudzał coraz większy podziw.



Świat Miyazakiego zapiera dech w piersiach.

Bartosz DWORCZAK

Nie mam już potrzeby **bycia najlepszą**

Aleksandra Pawlik to 26-letnia twórczyni internetowa z 12-letnim doświadczeniem w branży. Przez ponad dekadę szukała dla siebie przestrzeni w wielu miejscach. Dziś stawia przede wszystkim na internetowy marketing. Dlaczego porzuciła nagrywanie vlogów na YouTube? Jak postrzega studiowanie na niepublicznej uczelni? Czy tytuł influencerki daje jej powód do dumy, czy wstydu? Czy można ulec wypaleniu zawodowemu w tej branży? To tylko część wątków poruszonych w rozmowie z młodą influencerką.

Aktualnie na twoim profilu na Instagramie można znaleźć bardzo zróżnicowane treści; poczynając od kwestii lifestylowych, przez marketing, podcast, który prowadzisz, po Twoje hobby, jak na przykład gra na pianinie. Czym teraz zajmuje się Aleksandra Pawlik?

– Gdybym na jakimś pierwszym spotkaniu miała się przedstawić, to powiedziałabym, że zajmuję się marketingiem internetowym. To zarówno obejmuje moją działalność ze strony tej warsztatowo-szkoleniowej, jak i poprzez moje codzienną internetową aktywność. Nazywam siebie też twórczynią internetową oraz autorką podcastu – osobą, która kreuje jakąś swoją przestrzeń w social mediach.

W którym momencie zaczęłaś odczuwać odpowiedzialność za treści, które tworzysz? Jak wyglądał ten moment uświadomienia sobie, że nie nagrywasz tego kontentu już wyłącznie dla siebie i najbliższych?

– Kiedy ja regularnie nagrywałam, w trakcie tych moich początków, dokładnie śledziłam YouTube’a. Dało mi to perspektywę na to, co mi się podoba, a co niekoniecznie i czego wolałabym uniknąć. Dużą rolę odegrał też feedback, który wówczas dostawałam. Czasami były to wiadomości od starszych siostr albo mam osób, które mnie oglądały. Pisały w nich, że widzą wartość, w tym, co ich dzieci lub rodzeństwo u mnie ogląda. To dawało skrzydeł, motywowało oraz upewniało, że idę w dobrym kierunku, nie szkodząc innym.

W naszym kraju mamy tendencję do umniejszania osobom, które znają się na wielu rzeczach, w



Aleksandra Pawlik realizuje się obecnie w internetowym marketingu. Dlaczego zmieniła swoją influencerską ścieżkę?

– Przede wszystkim lubię się uczyć, zdobywać nowe umiejętności, dlatego stwierdziłam, że dalsza edukacja będzie dla mnie czymś wartościowym. Wiedziałam też, że jeżeli nie pójde na studia, to najprawdopodobniej moja prokrastynacja osiągnęłaby apogeum.

wielu kwestiach mają coś do powiedzenia. Spotkałaś się kiedyś z takimi niepochlebnymi opiniami na swój temat?

– Kiedy byłam młodsza, miałam możliwość sprawdzania się w bardzo wielu dziedzinach. Z jednej strony uczyłam się w szkole, po czym pojawiła się szkoła muzyczna, chwilę później zostałam harcerką, a końcowo moją zajawką stało się tworzenie treści na YouTube. Wszystko to było ze sobą kompletnie niepowiązane. Ja zawsze miałam taki problem, że we wszystkim byłam dobra, ale nigdy najlepsza. Przez wiele lat mnie to bolało, ale kiedy dojrzałam emocjonalnie, zrozumiałam, że co da mi to poczucie bycia mistrzynią w jakiejś dziedzinie? Nie oszukujmy się, ale mało komu uda się osiągnąć taki status. Mało kto z nas będzie kolejną Igą Świątek czy laureatem nagrody Nobla. Taka optyka zmieniła moje nastawienie i zdjęłam też dzięki temu z siebie swego rodzaju presję. Mam świadomość, że nie lubię się ograniczać do robienia jednej rzeczy. Potrzebuję poszerzać te spektra swojego zainteresowania, bo wtedy czuję, że się rozwijam. Stawiam to własne samodoskonalenie się wyżej niż ciągłą

potrzebę łechtania swojego ego, żeby być w czymś Alfą i Omegą.

Swoją nazwę na Instagramie zmieniłaś z Alex Mandostyle na Twoje imię i nazwisko. Jak zapatrujesz się na to, że w świadomości wielu ludzi możesz jeszcze być skorelowana z tą dziewczyną, która wstawiała filmy Back to School na YouTube?

– Nie przeszkadza mi to. Mam świadomość, że jest to ogromna część mojej internetowej tożsamości. Markę osobistą jako Aleksandra Pawlik kreuję dopiero od około dwóch lat. Skłonił mnie do tej zmiany fakt, że ta Alex Mandostyle była wymyślona przeze mnie, kiedy miałam dwanaście lat. Zdecydowałam, że Ola z tamtych lat, a Ola teraz, to już dwie inne osoby, co jest dość naturalnym procesem dojrzewania. Wiem, że ogromna część moich widzów jest ze mną od czasu, kiedy najbardziej aktywna byłam na YouTube i nie mogę się im dziwić, że pierwszym skojarzeniem z moją osobą będzie wcześniejszy pseudonim.

Czy był to Twój sposób na odcięcie się od wypalenia zawodo-

wego, o którym zdarzyło się Tobie wspomnieć?

– Nie wiedziałam, na ile chcę, żeby ta przeszłość była częścią mojej teraźniejszości, jakkolwiek to nie brzmi. Czułam potrzebę odcięcia się od tej części mnie, którą byłam w nastoletnich latach. Faktem jest też to, że wiedziałam, że prowadzę tę swoją karierę w trochę innym kierunku niż te parę lat temu.

Skąd pojawił się pomysł na przebranżowienie z influencerskiej działalności w stronę marketingu internetowego? Dlaczego aktualnie w mediach jest Cię trochę mniej, a coraz więcej po tej drugiej stronie tworzenia treści?

– Moim zdaniem żadna inna branża nie jest tak bardzo skorelowana z marketingiem, jak właśnie influencerstwo, więc trochę była to dla mnie naturalna dalsza ścieżka rozwoju. Kiedy jeszcze miałam swój tzw. prime time w nagrywaniu vlogów, odkryłam, że naprawdę mnie to interesuje i jest czymś, co chciałabym zgłębiać. Dlatego też podjęłam decyzję o studiach związanych z tym biznesem. W trakcie zdobywania wiedzy na uniwersytecie jeszcze bardziej zrozumiałam, że potrzebuję dla samej siebie możliwości zarobkowej na innej ścieżce niż do tej pory. Co więcej, wyznaję zasadę, że twoim najlepszym portfolio jest to, co Ty sam robisz, a ja tutaj mogę pokazać perspektywę osoby, która nie jedną kampanię ma już za sobą i wie, jak ten świat wygląda od środka.

Studiowałaś na uczelni niepublicznej. Spotkałaś się z określeniami, które temu umniejszały? Jak Ty sama postrzegasz ten format zdobywania wiedzy?

– Kiedy siedem lat temu rekrutowałam się do Akademii Leona Koźmńskiego w Warszawie, nie było to jeszcze aż tak powszechne, jak jest obecnie. Ja trochę byłam zmuszona do tego typu decyzji, ponieważ zdawałam rozszerzoną chemię. Nie był to dobrze punktowany przedmiot na kierunku humanistyczne na publicznych studiach. Absolutnie nie ukrywałam tego i mówiłam o tym głośno, bo chciałam, aby ludzie mogli usłyszeć, jak to wygląda z mojej perspektywy. Nie oszukujmy się, studia prywatne to kosztowny wydatek i rzadko który student jest w sobie w stanie na to pozwolić, bez wsparcia finansowego ze strony rodziców. Znam też mnóstwo osób, które próbowały pogodzić pracę z nauką i mam do nich ogromny szacunek. Aktualnie prywatne placówki nie są już aż tak demonizowane, jak jeszcze dekadę temu i udowadniają, że mają naprawdę wysoki poziom nauczania.

Posiadając tak duży bagaż doświadczeń związanych z marketingiem, potrafiłaś wynieść coś z twojego kierunku czy raczej była to potrzeba zdobycia tzw. papierka?

– Przede wszystkim lubię się uczyć, zdobywać nowe umiejętności, dlatego stwierdziłam, że dalsza edukacja będzie dla mnie czymś wartościowym. Wiedziałam też, że jeżeli nie pójde na studia, to najprawdopodobniej moja prokrastynacja osiągnęłaby apogeum. Miłą wartością dodaną był też fakt pokazania, że profesja, którą się zajmuje, nie ogranicza się jedynie do kolejnych współprac reklamowych – uważam, że był to dobry wizerunkowy ruch. Po tylu latach myślę, że nauka nie ma na celu nas ściśle wyedukować w danej kwestii, zrobić z nas ekspertów z danej dziedziny, ale bardziej wypracować dyscyplinę oraz samozaparcie. Byłam też w tej uprzywilejowanej sytuacji, że nie zdecydowałam się na te studia, żeby znaleźć pracę w zawodzie, ale bardziej, żeby poszerzyć swoje kompetencje.

Jak oceniasz ogólny poziom działań twórców internetowych aktualnie? Jest Tobie bliżej do poczucia dumy czy wstydu?

– Na pewno jestem daleka od stwierdzenia, że jestem dumna. Mam jednak podejsście, że gdybym odczuwała chęć zmiany, to już bym to zrobiła. Coraz częściej zauważam pewne niepokojące tendencje w tym, gdzie to influencerstwo zmierza, ale mam świadomość, że ich działanie mnie nie definiuje.

Druga część wywiadu z Aleksandrą Pawlik będzie dostępna na naszej stronie internetowej.

Rozmawiała Julia ZYGMUNT

Eurowizja: podzieleni przez muzykę

Konkurs Piosenki Eurovizji to wydarzenie, którego nie trzeba nikomu przedstawiać. Lata świetnych występów, zapadających w pamięć głosów oraz szeroko komentowanych kontrowersji przyczyniły się do polaryzacji wśród widzów – Eurowizję się kocha lub nienawidzi, nie pomiędzy. Zwolennicy doceniają nowoczesne połączenie talentu ze spektakularnym show, a krytycy zaznaczają, że widowisko od dawna nie ma już nic wspólnego z muzyką. Ile jest w tym prawdy?

Pierwsza odsłona konkursu Eurowizji miała miejsce w szwajcarskim mieście Lugano, dokładnie w 1956 roku. Udział w wydarzeniu wzięło tylko siedem krajów: Belgia, Francja, Holandia, Luksemburg, Niemcy, Szwajcaria oraz Włochy. Rosnące zainteresowanie widowiskiem sprawiło, że zapisało się ono w historii jako najdłużej emitowany program rozrywkowy, który trwa do dziś – choć na nieco zmienionych, współczesnych zasadach. W najnowszej edycji udział wzięło aż 37 krajów, w tym kilka położonych poza Europą. To jeden z wielu elementów, które budzą coraz większe wątpliwości co do sprawiedliwości konkursu.

Powolny, bolesny upadek?

Ubiegłoroczne zwycięstwo niebinarnego artysty Nemo sprawiło, że organizacja wydarzenia przeszła ze Szwecji do Szwajcarii. Patrząc wstecz, wybór tych krajów nie wydaje się przypadkowy – to ze Szwecji pochodzi legendarny zespół ABBA, natomiast Szwajcaria była gospodarzem pierwszego Konkursu Piosenki Eurowizji. Liczne oskarżenia, sugerujące, że o wygranej nie decyduje talent lub sympatia widzów, a głęboko zakorzenione elementy tradycji, łączą się z tzw. klątwą drugiego miejsca. Niektórzy z fanów Eurowizji wierzą, że najwyższe miejsce na podium zajmują ci, których potajemnie i przedwcześnie wytypują organizatorzy konkursu, a zaraz po nich uczestnicy, którzy naprawdę na to zasługują. Takie opinie nie pojawiły się jednak w tym roku, gdy owe drugie miejsce zajął Izrael.



Justyna Steczkowska stała się jedną z ulubienic fanów Eurowizji

”Polska nie ma szczęścia do Eurowizji. Choć rodacy najczęściej bywają podzieleni, ten jeden raz mogą wspólnie przyznać, że nad naszym krajem wisi przykre fatum. Nieważne czy na konkurs wysłamy osobę, której wybranie w preselekcjach wywołuje burzliwą dyskusję o sprawiedliwym wyniku, czy może kogoś, kto idealnie nadaje się na eurowizyjne show.

Uczestnictwo położonego na Bliższym Wschodzie państwa nie od dziś wzbudza kontrowersje. Jest to spowodowane przez wiele złożonych czynników. Głównym jest konflikt izraelsko-palestyński, ale również wprowadzana przez EBU cenzura, ingerencje polityczne w wybór piosenek, promowanie uczestnika poprzez wykupywanie

reklam w mediach społecznościowych, niejasna kwestia przyznawania punktów, a także oficjalny sponsor Eurowizji, jakim jest izraelska marka Moroccanoil. Pośród osób, które bojkotują konkurs oraz wzywają do wykluczenia z niego Izraela, znaleźli się już nie tylko widzowie, ale i sami uczestnicy. Tegoroczny zwycięzca, austriacki pio-

senkarz Johannes Pietsch (pseudonim: JJ), który zdobył statuetkę dzięki piosence „Wasted Love”, publicznie wyraził swoje niezadowolone decyzjami organizatorów. „Chciałbym, aby Eurowizja odbyła się w przyszłym roku w Wiedniu, ale bez Izraela. Piłka jest jednak po stronie EBU. My jako artyści możemy jedynie zabierać głos w tej sprawie” – powiedział artysta dla hiszpańskiej gazety „El Pais”. W zeszłych latach byli reprezentanci również starali się bojkotować uczestnictwo Izraela poprzez np. rezygnację z roli rzeczników punktów lub pisanie listów otwartych z prośbą o wykluczenie państwa z konkursu.

Sprawa Izraela jest bez wątpienia największą kontrowersją dotyczącą

Eurowizji, która powraca wraz z każdą kolejną edycją. Mimo tego nie jest to jedyny problem, który może wywoływać u organizatorów niepokój o przyszłe losy konkursu. Opinia publiczna coraz częściej zwraca uwagę na stronnicze zachowania przyznającego punkty jury, cenzurowanie flag Palestyny oraz LGBTQ+, brak geograficznej spójności, a także przerost formy nad treścią, który powoduje, że bardziej liczy się dobry spektakl, niż muzyczny talent.

Matka smoków

Polska nie ma szczęścia do Eurowizji. Choć rodacy najczęściej bywają podzieleni, ten jeden raz mogą wspólnie przyznać, że nad naszym krajem wisi przykre fatum. Nieważne czy na konkurs wysłamy osobę, której wybranie w preselekcjach wywołuje burzliwą dyskusję o sprawiedliwym wyniku, czy może kogoś, kto idealnie nadaje się na eurowizyjne show. Tak czy inaczej, nasze starania nigdy nie zostają docenione przez jury. Podczas 69. edycji konkursu przekonała się o tym Justyna Steczkowska.

Piosenka „Gaja” zyskała popularność zarówno w Polsce, jak i w innych krajach. Film z występu udostępniony na platformie YouTube z pierwszego półfinału bił rekordy oglądalności, a pośród komentarzy trudno było znaleźć cokolwiek negatywnego. Poziom naszej reprezentantki wzbudził w Polakach głęboką wiarę, że zasłużyliśmy na miejsce w top 10 występów, a nawet i na podium. Te marzenia mogłyby się spełnić, gdyby nie „odwieczne” pomijanie naszego kraju przez jury. Sytuacja była niemal identyczna z tą, która spotkała Michała Szpaka podczas 61. odsłony Eurowizji, podczas której głosujący widzowie docenili naszego reprezentanta, a jury całkowicie go zignorowało.

Teraz, gdy pierwsze emocje po Eurowizji już opadły, najrozsądniejszą opcją jest szukanie pozytywów. Występ Justyny Steczkowskiej zjednoczył znaczącą część Polaków, którzy promowali naszą reprezentantkę na przeróżne i kreatywne sposoby. Warto wspomnieć o kampanii zorganizowanej przez prezydenta Krakowa, Aleksandra Miszańskiego. 17 maja słynny smok zniknął z Wawelu, a jego powrót mógł nastąpić tylko dzięki głosowaniu na Justynę Steczkowską. Pomysł jednym przypadł do gustu, a u drugich wywołał zażenowanie. Co trzeba jednak przyznać, wsparcie okazane naszej reprezentantce może być kluczowym przykładem, że muzyka wciąż jest w stanie nas jednoczyć. To w tym przesłaniu warto więc upatrywać sensu Eurowizji.

Aleksandra MIERZWA



Tegoroczny zwycięzca Eurowizji, Johannes Pietsch, wyraził jawne niezadowolone z uczestnictwa Izraela w konkursie

Zniszczenie z rąk zniszczonych

Dzieło ponadczasowe. Proste określenie, z którym wiążą się różne konotacje. Są takie produkcje, którym życzymy, aby ponadczasowość przestała ich dotyczyć. O których mówimy „aktualny, mimo upływu lat”, licząc na to, by status ten uległ zmianie. Produkcje poruszające tematy trudne, bolesne, które można docenić za trafność diagnoz, woląc jednak, by stanowiły kroniki czasów słusznie minionych. Przytaczamy „Więźnia nienawiści” Tony’ego Kaye’a, poruszającego problem ksenofobii i radykalnego rasizmu.

Sukces filmu z 1998 roku był dziełem głównie trzech osób – wspomnianego reżysera, scenarzysty Davida McKenny i Edwarda Nortona. Jest to produkcja bardzo dobra, choć nieidealna. Cięży jej zwłaszcza zbyt melodramatyczna muzyka czy miejscami nieudolne silenie się na artyzm. Zachwyca natomiast rola Nortona i scenariusz. Całość nadal wybrzmiewa z niezwykłą mocą, na wielu polach wyróżniając się wśród innych filmów o rasizmie.

Piętno swastyki

Przypominając fabułę – Derek Vinyard jest skinheadem i neonazistą. Po zabójstwie dwóch czarnoskórych mężczyzn, próbujących ukraść jego auto, trafia do więzienia. Jego brat, Danny, w podziwie dla Dereka idzie w jego ślady. Jako wypracowanie na temat praw człowieka, wręcz nauczycielowi żydowskiego pochodzenia analizę „Mein Kampf”. Dyrektor szkoły – czarnoskóry dr. Sweeney – decyduje się pokazać Danny’emu szkodliwość skrajnej ideologii. Derek wychodzi tymczasem z więzienia, planując odciąć się od dawnego środowiska i wyprowadzić z niego brata.

Rasizm jest tematem, który kino podejmowało wielokrotnie. Jednym z ważniejszych wyróżników „Więźnia nienawiści” jest przyjrzenie się współczesnym uwarunkowaniom ksenofobii, które są bardziej złożone niż w czasach kolonializmu czy segregacji rasowej. Wabikiem przyciągającym do ekstremistycznych ugrupowań nie jest



„Więźnia nienawiści” to kino dosadne i bezkompromisowe

sama wizja przemocy. Film Kaye’a jednoznacznie potępia rasizm, jednak zagłębia się przy tym w jego przyczyny. Derek przeżywał niechęć wobec mniejszości pod wpływem ksenofobicznej perspektywy swojego ojca. Co ważne, Vinyard senior nie był bojówkarzem, raczej przeciętnym Amerykaninem, który jednak widział rzeczywistość w sposób uproszczony. Na Afroamerykanów patrzył z góry, i wyrażał sprzeciw wobec programów równościowych, które w jego opinii przekładają inkluzywność nad profesjonalizm. Tym samym pogłębiały one jego niechęć wobec całej społeczności. Jako autorytet w oczach syna zasiał ziarno, które zaczęło niebezpiecznie kiełkować. Punktem granicznym była dla Dereka śmierć ojca. Jako strażak został on wezwany do gaszenia pożaru, podczas którego zastrzelił go czarnoskóry diler narkotyków. Poglądy Dereka wykrystalizowały się – przedstawiciele mniejszości stali się w jego oczach przestępcami, którzy nie pracują i otrzymują pieniądze od rządu kosztem potomków europejskich migrantów. Osiedlenie się afroamerykańskich gangów, w niegdyś jednolitej etnicznie dzielnicy, dodatkowo zmotywowało Vinyarda do agresji.

Bohater grany przez Edwarda Nortona maluje przenikliwy portret współczesnego rasisty. Młody, zagubiony życiowo człowiek, który w obliczu trudnej sytuacji rodzinnej i finansowej znajduje proste odpowiedzi na trudne pytania. Znajduje wroga, którego może obarczyć winą za wszystkie problemy. Zamiast szukać faktycznego rozwiązania, szerzy krzywdę i zniszczenie. Odnajduje wspólnotę, dla której jest bohaterem. Fizyczna dominacja i przemoc dają mu złudne poczucie sensu i sprawczości, w rzeczywistości obudowując wewnętrzny ból i pustkę. Charizmą i domorosłą socjologią zjednuje wokół siebie innych sfrustro-

wanych Amerykanów. Przytacza statystyki, zabiera głos w sprawie Rodneya Kinga (Afroamerykanina pobitego podczas kontroli drogowej przez czterech białych funkcjonariuszy departamentu policji w LA, których uniewinnienie skłoniło lokalną Afroamerykanów do wzniecenia zamieszek), odwołuje się do doświadczeń swojego środowiska. Z poczuciem intelektualnej wyższości uzasadnia swoje radykalne poglądy, nie dostrzegając jak uproszczona i destrukcyjna jest jego retoryka.

Sam zresztą stał się narzędziem w rękach Camerona Alexandra. Faktyczny lider neonazistowskiego ruchu jest cynicznym manipulatorem. Pozuje na intelektualistę, dając zwolennikom złudne poczucie świadomości społecznej. Nie podporządkowałby sobie tak licznego grona, nawołując wyłącznie do nienawiści. Zamiast tego wyczuł realne napięcia społeczne. Wrogości etnicznej sprzyja poczucie, że mniejszości traktowane są w sposób uprzywilejowany, a także szerzące się stereotypy i dezinformacja oraz statystyki dotyczące przestępczości. Kiedy w związku z tym powstaje dystans, Cameron kanalizuje te emocje, wzmacniając podział i dehumanizację danych grup. Możliwa jest sytuacja, w której człowiek ogląda z przerażeniem scenę ataku na sklep w „Więźniu nienawiści”, a lata później sam dołącza do skrajnie prawicowego ugrupowania, wierząc, że walczy o bezpieczeństwo.

Derek w więzieniu konfrontuje się ze swymi wyobrażeniami. Bliżej poznaje czarnoskórego współwięźnia, co burzy jego dehumanizującą perspektywę. Dowiaduje się, że wyrok nowego znajomego został znacznie zawyżony. Wcześniej świat był dla niego zerojedynkowy – mniejszości są leniwe, niebezpieczne i żerują na pracowitym społeczeństwie. Łatwiej w końcu było patrzeć w ten sposób i odpowiednio filtrowanymi infor-

”Rasizm jest tematem, który kino podejmowało wielokrotnie. Jednym z ważniejszych wyróżników „Więźnia nienawiści” jest przyjrzenie się współczesnym uwarunkowaniom ksenofobii, które są bardziej złożone niż w czasach kolonializmu czy segregacji rasowej. Wabikiem przyciągającym do ekstremistycznych ugrupowań nie jest sama wizja przemocy.

macjami budować złudną intelektualną podbudowę. Wiedział to Cameron, a Derek przekazał dalej, przedstawiając się ludziom na rozdru jako lider, który ich poprowadzi w stronę „lepszego” rzeczywistości. Podatny grunt tworzyło również przekonanie o bierności rządu oraz zawłaszczanie pojęcia patriotyzmu – w postaci idei zgodnej, z którą tylko to ugrupowanie działa w interesie kraju.

Niestety, mimo wyartykułowania problemów przytoczonych powyżej, film w niewielkim stopniu ukazuje perspektywę samych mniejszości. „Więźnia nienawiści” porusza też wątek rasizmu wymierzonego w białych, wzajemnie nakręcającej się spirali agresji i działalności afroamerykańskich gangów. Pochylenie się nad takimi kwestiami zdaje się potrzebne do skutecznej walki z radykalizacją. Przekonywanie o niesłuszności oceniania na podstawie koloru skóry jest oczywiście ważne, ekstremiści mają jednak na to swoje argumenty – o których lepiej dyskutować niż pozwalać na ich instrumentalizację przez skrajnie prawicowych demagogów.

Więźnienie wciąż czynne

Ugrupowania rasistowskie nie są niestety przeszłością. Problem ukazuje, chociażby zeszłoroczny dokument „Zhakować hejt”. Opowiada on o śledztwie szwedzkiej dziennikarki My Vingren, które uświadamia skalę ekstremizmu i ksenofobii w grupach internetowych, aktywnych organizacjach czy wykorzysty-

wania tych nastrojów przez polityków. Przerazającą refleksją jest porównanie diagnoz i wypowiedzi ze „Zhakować hejt” z obrazem przedstawionym niemal 30 lat temu. Nie trzeba zresztą dogłębnie badać tematu, by odnieść wrażenie, że wypowiedzi Dereka brzmią niepokojąco znajomo. Dwa inne wątki, które zostały w „Więźniu nienawiści” zaprezentowane i które pokrywają się ze współczesnością to internet oraz rozbita tożsamość. Neonaziści wspominają, jak wiele zrobili w kwestii mobilizacji przez sieć. Rozbicie tożsamości, potęgujące wrażenie szukania swojego miejsca, jest dość wymownie ilustrowane przez sąsiedowanie ze sobą swastyki i amerykańskiej flagi.

Jednocześnie film stara się szukać człowieczeństwa w braciach Vinyard. Nie jest w tym naiwny ani normalizujący skrajne postawy. Wyrażnie pokazuje, że dla niektórych jednostek nie ma szans na moralną zmianę. Derek jej dokonał, ale pytanie o jego odkupienie pozostaje niejednoznacznie zawieszone. Druzgocący emocjonalnie finał woła o zmianę, ale i pokazuje jak trudno jej dokonać. Przybliżenie widzom Dereka i Danny’ego unaocznia za to trafność polskiego tłumaczenia tytułu. Nienawiść i jej propagatorzy manipulują ludźmi o kruchym fundamencie wartości i przekonaniach, ciągnąc ich w otchłań ksenofobii. „Więźnia nienawiści” mówi niczym Gandhi, pragnąc pokoju i przejrzenia przez rasistów na oczy. Oferuje terapię szokową, którą warto przeżyć.

Aleksander GRĘDA

Debiutanckie czary Suwalskiej

To nie tylko tegoroczna premiera, ale i debiut naszej rodzimej autorki – Katarzyny Suwalskiej. Co nawet zaskakujące, niezbyt szczególnie promowany, a mógłby być nośny, bo jest pełen magii! Jej źródłem są słowiańskie mity i dawne opowieści, co sprawia, że debiutanckie dzieło autorki wyróżnia się na tle literatury dziecięco-młodzieżowej. Czy z oryginalnego pomysłu pisarka wyczarowała udaną książkę?

Książka na rynku czytelnictwem ukazała się wraz z początkiem marca. Jej główna bohaterka, Tosia, jest córką zielarki Żywii, której dość często pomaga w pracy. W Sławogrodzie wiecie względnie spokojne życie. Oczywiście, tylko do czasu – do pewnego niepozornego dnia, gdy dziewczynka przypadkiem odkrywa w sobie nadnaturalną moc. Magia i codzienność spotykają się na oczach jej oraz czytelnika, tworząc niezwykle świat. Do fascynacji nowymi zdolnościami wkrótce mają dołączyć wyzwania – w odległej krainie głowę swą podnosi zło, pragnące zagarnąć moc małej czarodziejki dla siebie.

Magia i zapomniane mity

„Tosia” z okładki i opisu przyciąga nieco tajemniczym klimatem i obietnicą miłej przygody. Ta zadziwia ma się w świecie, który z jednej strony kojarzy się z baśnią, klimatem nieco średniowiecznym, a z drugiej oferuje dzieciom turbo hulajnogę. Miotły są już bowiem nieco niemodne. Wszystko dzieje się w przekonującej oprawie słowiańskiego mitu, który nadaje tej książce edukacyjną, ale także wychowawczą funkcję. Obok podstawowych wartości, takich jak: przyjaźń, odwaga, zdobywanie wiedzy i ostrożność czy troska, czytelnicy poznają również załączki naszej kultury. Stare słowiańskie święta oraz obrzędy, a także czary i demony. Tym samym Suwalska poniekąd przywraca do życia często zapomnianą słowiańską mitologię, przykrytą pyłem popularniejszej mitologii greckiej czy nordyckiej, które są wykorzystywane komercyjnie na potrzeby kultury masowej. „Tosia Czarodziejka i Kwiat Paproci” stwarza dla mitologii słowiańskiej szansę na zaistnienie w oczach dzieci oraz młodzieży. Na wzbudzenie zainteresowania i



Suwalska uchyla drzwi do świata baśni i czarów

„ Historia małej czarodziejki jest spójna, zdania użyte do jej opisu proste, ale obfitujące w wysokiej jakości, starannie wygładzony język. Słowem: idealnie dla młodych czytelników. Pod tym względem pochwalić też muszę konstrukcję rozdziałów i ich tytułów. Te drugie są w zasadzie podtytułami dla tytułu książki, czyniąc kolejne rozdziały do pewnego stopnia samodzielnymi opowiastkami.

chęci dalszego zgłębiania. Tym większą, że w przeciwieństwie do wielu klasyków literatury dziecięco-młodzieżowej, jest to w dużej mierze powieść kobiet małych i dużych. Suwalska kreuje znaczące, silne, mądre i budzące sympatię bohaterki.

Ja wyróżniam dwie; młodą czarodziejkę i wiedźmę.

Tosia, ciekawa świata, wybrana przez magię. Miła, nieidealna, ucząca się i lubiąca zabawę, z potencjałem na wielkie osiągnięcia. Jednym z nich może być to, że dzieci będą się z nią

mogły utożsamić. Szczególnie natomiast zapamiętam Panią Wisławę – jedną z najpotężniejszych postaci w książce. Jej nieco ekscentryczna, pełna klasy i wiedzy postać, stanowi jedną z największych zalet tej historii. Otoczona magiczną aurą, z miejsca zwraca na siebie uwagę i przybiera rolę mentorki, nie tylko dla małej Tosi. Jednocześnie wiedźma ma w sobie pokłady dobrego humoru. Dość łatwo można by było ją sobie wyobrazić w towarzystwie Gandalfa czy Albusa Dumbledore’a i Minervy McGonagall dla nieco młodszego targetu wiekowego.

Przyjemna dobranocka

Historia małej czarodziejki jest spójna, zdania użyte do jej opisa-

nia proste, ale obfitujące w wysokiej jakości, starannie wygładzony język. Słowem: idealnie dla młodych czytelników. Pod tym względem pochwalić też muszę konstrukcję rozdziałów i ich tytułów. Te drugie są w zasadzie podtytułami dla tytułu książki, czyniąc kolejne rozdziały do pewnego stopnia samodzielnymi opowiastkami. Łączą się one, rzecz jasna, w integralną i spójną całość. Autorka nie urywa ich jednak tak, by przymusić czytelnika do przewracania kolejnych kartek. Dzięki takiej konstrukcji, wyważeniu w podsycającym zaangażowaniu czytelnika, „Tosia” może towarzyszyć rodzinom przez wiele wieczorów. Każdy rozdział jest jak osobna, miła dobranocka, po której można spokojnie książkę odłożyć, przespacerować się, a później z chęcią do niej wrócić.

Jej jedynym prawdziwym, w drugiej połowie lektury już nieco uciążliwym, mankamentem jest umiejscowienie wszystkich przypisów na samym końcu książki. W trakcie czytania rozpraszało mnie deczko częste przerzucanie kartek, a następnie konieczność ponownego odnajdywania się na przerwanym stronicach. A ów przypisy stanowią wartościowy dodatek, bo kryją się za nimi znaczenia słów z dawnego języka i słowiańskich założeń.

Niemniej, im bliżej końca, tym cieplejszym spojrzeniem śledzi się poczynania małej Tosi. Czynność tę uprzyjemnia kilka ilustracji, skrytych pomiędzy rozdziałami. Pięknie wykonane, podsycają klimat i pobudzają wyobraźnię czytelnika, rozgrzewając ją przed punktem kulminacyjnym. Tam, zgodnie ze sztuką, akcja przyspiesza, a kąciki ust unoszą się wyżej. A sam finał, usatysfakcjonuje nie tylko najmłodszych odbiorców.

Bo choć „Tosia Czarodziejka i Kwiat Paproci” dedykowana jest dzieciom, oczaruje również rodziców. I dla młodzieży może okazać się materiałem na wieczór z uśmiechem, wywołanym sympatycznym wspomnieniem dzieciństwa. Ta moc swoje źródło ma w stylu autorki, sprawiającym wrażenie jakbyśmy czytali baśń lub legendę. Innym charakterystycznym elementem jest czerpanie ze słowiańskich mitów. Sprytnie się też „Tosia” kończy. Ostatnie zdania powieści Suwalskiej są jak domknięcie drzwi do szafki z ukończonym, magicznym eliksirem. Wokoło jednak wiele jest ziół oraz pustych flakoników, wiele potencjału, a w tych umownych drzwiczkach wciąż znajduje się kluczyk. I kusi, żeby tego wszystkiego użyć. Żeby jeszcze trochę z Tosią poczarować.



Tosia blisko jest natury

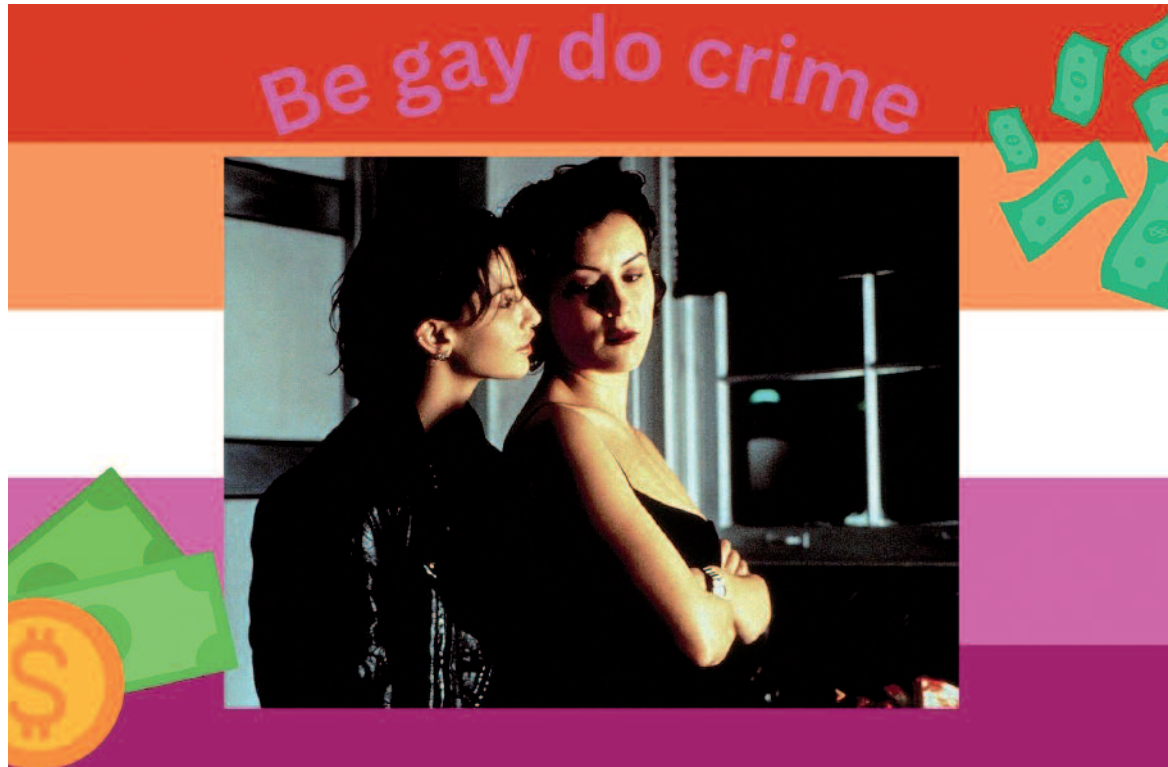
Marcin KLONOWSKI

Jak co roku z okazji miesiąca dumi z pewnością pojawi się wiele tekstów krytycznych i list polecających najlepsze queerowe filmy. Zdecydowana większość z nich, z jakiegoś powodu, będzie się kończyła dramatycznym rozstaniem lub tragiczną śmiercią jednego z uderzonych bohaterów. W słonecznym czerwcu musimy jednak pamiętać, że nie wszyscy geje umierają na raka i nie każda lesbijka musi w końcu wrócić do męża, za którego wyszła z przymusu. W końcu „gay” oznacza także „szczęśliwy”!

Wyreżyserowane przez słynne siostry Wachowskie, autorki filmowego „Matrixa”, „Brudne pieniądze” to o wiele więcej niż tylko doskonale skonstruowany kryminał. Opowieść otwiera futuropspekja, podczas której widzimy jedną z głównych bohaterek – Corky) – związaną w szafie. Fragmenty dialogów, które słyszymy w tle sugerują, iż doszło do oszustwa, finansowego przekrętu, w którym nie wszystko poszło tak, jak powinno. Po cięciu montażowym wracamy do młodej kobiety, która po wyjściu z więzienia dostaje pracę jako konserwatorka i przeprowadza remont w jednej z ekskluzywnych chicagowskich kamienic. W windzie natyka się na zmysłową Violet (Jennifer Tilly) w towarzystwie jej chłopaka-mafiosa, Caesara (Joe Pantoliano). Spotkanie to wkrótce przeradza się w pełen napięcia romans dwóch kobiet oraz próbę odzyskania przez nie autonomii. Plan ucieczki powiedzie się wyłącznie dzięki... kradzieży dwóch milionów dolarów od mafii.

(Nie)prosta relacja

Corky (Gina Gershon) i Violet tworzą z pozoru stereotypowy lesbijski duet. Pierwsza z nich nosi męskie ubrania, łobuzersko przeczesuje włosy i lustruje wzrokiem tę drugą, czasem seksownie wymienia kolanko pod zlewem. Jej partnerka natomiast to uwięziona w związku z mężczyzną kobieta, która lubuje się w obcisłych sukienkach, szpilkach oraz technikach uwodzenia, których nie powstydzilyby się femmes fatales z klasycznych filmów noir. Wraz z zagłębianiem się w relację obu bohaterek oraz dzięki bezpośredniemu odstawianiu stereotypowych spojrzeń na queerowe kobiety w dialogach, widz sam jednak zaczyna karcić się w duchu, że tak szybko je zaszufładował. Nawet same bohaterki, co wynika z ich rozmów, czasem



Obejrzyjcie w czerwcu queerowych Bonnie i Clyde!

„Nie mam serca zdradzać zakończenia tego małego arcydzieła, choć pewnie łatwo domyślić się jaki jest finał historii Violet i Corky. W ogólnym rozrachunku stopień przewidywalności fabularnego rozwiązania nie wydaje się jednak wcale taki istotny. Emocjonalna warstwa opowieści jest bowiem tak doskonale zbudowana, że utrzymuje widza w pełni zaangażowanego do samego końca.

potrzebują przypomnienia o tym, że nie ma jednego, dobrego sposobu na bycie lesbijką. W świecie chcącym przyporządkować każdego do jasno określonej kategorii uświadamiają

zarówno nam, jak i sobie, iż sztucznie podzielona społeczność nie ma prawa dobrze działać.

Siostry Wachowskie idealnie oddają dynamikę kobiecych związków,

które w praktyce bardzo rzadko opierają się na ścisłych kontrastach czy jasnym zaznaczaniu dominacji. Przypominają, że w relacjach, tak samo jak w kradzieży, najważniejsze jest partnerstwo. Uwidocznione zostaje to zarówno w nieziemsko nakręconych scenach erotycznych, jak i skonstruowanym przez obie postaci planie dokonania rabunku, w którym każda odgrywa równie ważną rolę. Co zostaje jasno zaznaczone – jeśli jedna z nich zawali, cały plan legnie w gruzach. Wybrzmiewa także kwestia zaufania, które zdaniem Corky, jest fundamentem udanego skoku na kasę. I



Gina Gershon do dziś jest ikoną stylu

choć może nie jest to najbardziej zgrabna metafora w historii kina, urzeka symboliczne przedstawienie relacji romantycznej jako złodziejskiej akcji. Dla powodzenia obu niezbędna są bowiem odwaga, zaangażowanie i świadomość ryzyka. Wzruszające jest obserwowanie, jak Violet i Corky walczą o siebie, ale nigdy przeciw sobie. Jak gotowe są do poświęceń i jak bardzo zamiast dla siebie umierać, pragną dla siebie żyć.

Zabawa formą

Warto wspomnieć również o kwestii gatunkowości „Brudnych pieniędzy”, ta bowiem jest równie skomplikowana, jak porachunki z mafią. Film określony na Filmwebie jako dramat, kryminał i thriller, choć oczywiście wpisuje się w ramy wymienionych gatunków, nie został opisany w pełni trafnie. Na innych stronach natknęłam się na nieco bardziej adekwatną łatkę „thrillera erotycznego” oraz „neo-noir”, co zdecydowanie lepiej pasuje do specyficznego wydźwięku dzieła. Hybrydyzacja zaszła tu tak daleko, że trudno o trafną gatunkową identyfikację. Twórczynie z pełną świadomością bawią się formą, doprowadzając do wykształcenia się nieoczywistych połączeń wewnątrz narracji. Swobodnie zmieniają ton z komediowego na dramatyczny i podwyższają napięcie do granic możliwości, aby potem stopniowo odsłaniać kolejne elementy mafijnej układanki. Fabularny suspens odzwierciedla się również na poziomie relacji głównych bohaterek, które w momencie trwania skoku są oddzielone od siebie cienką ścianą pomiędzy dwoma mieszkaniem. Przy odpowiednim ułożeniu są więc w stanie się przez nią słyszeć. Natomiast brak widoku na drugą osobę i kontroli nad jej działaniami to aspekt zarówno frustrujący, jak i szalenie podsycający niepokój, połączony z ekscytacją. Skąd mamy wiedzieć, że jedna z kobiet po prostu nie weźmie walizki z pieniędzmi i nie ucieknie? A przede wszystkim, jaką one mają pewność, że do tego nie dojdzie?

Nie mam serca zdradzać zakończenia tego małego arcydzieła, choć pewnie łatwo domyślić się jaki jest finał historii Violet i Corky. W ogólnym rozrachunku stopień przewidywalności fabularnego rozwiązania nie wydaje się jednak wcale taki istotny. Emocjonalna warstwa opowieści jest bowiem tak doskonale zbudowana, że utrzymuje widza w pełni zaangażowanego do samego końca. I być może to oczy łzawił mi od alergii na pyłki wkradające się przez otwarte okno, a może to finałowy dialog bohaterek, który jest najpiękniejszą rzeczą, jaką usłyszałam tuż przed miesiącem dumi:

„ – Wiesz, jaka jest między nami różnica?

– Nie.

– Ja też nie.”

Maria PILARSKA

Zdjęcia: flickr.com/photos/edfilmfest/7413185436

Czas na gorączkę kobiecego futbolu

Na początku grudnia reprezentacja Polski w piłce nożnej kobiet osiągnęła historyczny sukces, uzyskując premirowy awans na seniorskie Mistrzostwa Europy, które rozpoczną się już 2 lipca i zostaną rozegrane na ośmiu szwajcarskich stadionach. Grudniowy sukces i seria 10 meczów bez porażki są najlepszym dowodem na dynamiczny rozwój kobiecej piłki w naszym kraju i trudno sobie wyobrazić, by lipcowy turniej go jeszcze bardziej nie napędził.

Eliminacje do tegorocznego Euro były rozgrywane na kształt Ligi Narodów. Rywalizacja została podzielona na trzy dywizje. Polki znalazły się w najwyższej z nich, co było możliwe dzięki zwycięstwu w grupie 3. dywizji B Ligi Narodów 2023/24. W sześciu meczach kwalifikacji z reprezentacjami Niemiec, Islandii i Austrii podopieczne Niny Patalon nie zdobyły ani jednego punktu, ale pozostało im koło ratunkowe w postaci baraży, przez które Białoczerwone przeszły już bezbłędnie. Najpierw w przekonującym stylu wyeliminowały Rumunię, notując dwa zwycięstwa (2:1 na wyjeździe i 4:1 w domu), a na przełomie listopada i grudnia w finałowej rywalizacji zrewanżowały się Austriaczkom, z którymi wcześniej w eliminacjach dwukrotnie przegrały 1:3. Tym razem Polki zagrały dużo skuteczniej i w obu wyrównanych starciach wygrały 1:0.

Serio trwaj

Baraże zbudowały pewność siebie naszych reprezentantek, które na fali sukcesu przeszły przez grupę 1. dywizji B Ligi Narodów niczym burza. W sześciu spotkaniach straciły punkty tylko raz (2:0 i 4:0 z Irlandią Północną, 1:0 i 3:0 z Rumunią, 5:1 i 1:1 z Bośnią i Hercegowiną), co przełożyło się na pewny



Nina Patalon doprowadziła reprezentację Polski do historycznego sukcesu

triumf w grupie i awans do dywizji A. Okoliczności, w jakich piłkarki przystępują do swojego debiutanckiego Euro, zdają się więc wymarzone. Tym bardziej biorąc pod uwagę fakt, że grono rywek w grupie jest bardzo silne. Białoczerwone zmierzą się kolejno z: Niemkami (wicemistrzyniami Europy z 2022 roku), Szwedkami (półfinalistkami Mistrzostw Europy) i Dunkami (uczestniczkami mundialu 2023).

Niemki trzy lata temu po dziewięcioletniej przerwie odzyskały medal w rozgrywkach o prym na Starym Kontynencie. Wcześniej mogły się pochwalić wręcz abstrakcyjnym dorobkiem sześciu wygranych Euro z rzędu! Co więcej, spośród 13 dotychczas rozegranych turniejów tej rangi reprezentacja naszych zachodnich sąsiadów była najlepsza ośmiokrotnie. W porównaniu z realiami kobiecego futbolu w Polsce o starciu z Niemkami należy więc mówić jako o zderzeniu dwóch zupełnie odmiennych światów. Najdobitniej potwierdzają to dwa spotkania z 2024 roku w ramach turnieju kwalifikacyjnego. W Rostocku padł wynik 4:1 dla gospodyń, a w Gdyni Niemki wygrały 3:1.

Szwedki natomiast z triumfu w kontynentalnym czempionacie cieszyły się raz, w 1984 roku. Łącznie zdobyły w tych zmaganiach osiem medali. Z nimi reprezentacja Polski ostatni raz grała w 2021 roku i przegrała u siebie 2:4. Cztery wcześniejsze konfrontacje z tym zespołem też kończyły się wyraźnymi porażkami.

99 Setki tysięcy rodzin siądzie przed telewizorami i włączy TVP1/TVP Sport. Jeśli dzięki temu liczba zarejestrowanych piłkarek wzrośnie o 50%, czyli 15 tysięcy, będzie to gigantycznym sukcesem tej reprezentacji, Niny Patalon i samych piłkarek. Mam nadzieję, że bogate firmy z branży kosmetycznej czy odzieżowej postanowią wykorzystać Euro jako moment zaangażowania się w sponsoring kobiecej piłki.

Grono naszych rywek dopełniają Dunki, które trzy lata temu nie wyszły z grupy, ale w swoim dorobku mają trzy medale Mistrzostw Europy (ostatni zdobyty w 2017 roku – srebrny). Z Danią polskie piłkarki zagrały dwa razy w 2016 roku. W pierwszym meczu padł bezbramkowy remis, ale w kraju Hamleta Dunki triumfowały aż 6:0.

Pokazać się z dobrej strony

– Polki to jeden z dwóch debiutantów w bardzo hermetycznym towarzystwie finalistów. To stawia nas w trudnej sytuacji, a losowanie wcale jej nie poprawiło. To jednak turniej, a te, jak wiadomo, rządzą się swoimi prawami. Rywale są bardzo trudni, z całą trójką nie wygraliśmy nawet jednego meczu. Z Dunkami raz zremisowaliśmy. Marzy mi się casus greckiej męskiej kadry z 2004 roku. Zęby bolały, gdy się to oglądało, a Charisteas i spółka wysiadali z samolotu z Pucharem Europy. Mogę się męczyć przez sześć spotkań, jeśli wrócimy jak oni... Ale realnie.... bawmy się udziałem w

tym turnieju. Awans z grupy byłby sukcesem – mówi dla nas Michał Zawacki, wieloletni komentator stacji TVP Sport i ekspert od kobiecej piłki.

Polki w tak silnej stawce będą miały arcytrudne zadanie. Ewa Pajor i spółka, jak i cała kobieca piłka w Polsce mogą jednak tylko zyskać. Wystarczy... godnie się zaprezentować i spróbować pokazać własne umiejętności. Wystąpimy w wielkim turnieju w roli absolutnych nowicjuszy. Reprezentantki Polski mają więc idealną okazję do przetestowania, bo gdzie zbierać doświadczenie na wielkich turniejach, jak nie w starciach z tak renomowanymi zespołami. Można też zakładać, że każda z tych trzech ekip będzie chciała pokazać, że w rywalizacji z nami zasługuje na miano faworyta. To stworzy świetne warunki dla naszych reprezentantek, by pokazać się z jak najlepszej strony.

Być jak...

Prawdopodobnie każdy kibic polskiej piłki słyszał o Ewie Pajor,

która od lat święci wielkie sukcesy w karierze klubowej. Nie samą Pajor jednak zespół stoi. Wśród powołanych na majowo-czerwcowe zgrupowanie znalazły się też między innymi: Kinga Szemik (West Ham United), Paulina Dudek (PSG), Emilia Szymczak (FC Barcelona), Martyna Wiankowska (FC Köln), Wiktoria Zieniewicz (FC Basel), Adriana Achcińska (FC Köln), Tanja Pawollek (Union Berlin), Natalia Padilla-Bidas (Sevilla), Ewelina Kamczyk (Fleury 91) czy też mistrzyni Polski z GKS-u Katowice: Kinga Seweryn, Jagoda Cyryniak i Klaudia Słowińska. Tak liczna grupa piłkarek z uznanych europejskich klubów pokazuje, że na Euro nie znaleźliśmy się z przypadku i dysponujemy zespołem, umiejącym dobrze grać w piłkę.

Wielkie turnieje są świetną okazją do pokazania się szerszej publiczności i najlepszym motorem napędowym dla rozwoju futbolu w danym kraju. Zdaje się, że Polki jadą na lipcowy turniej dokładnie w tym celu. Oczywiście nie złożą broni i będą walczyły o każdy punkt, ale główną stawką ich udziału w szwajcarskiej imprezie jest wprowadzenie piłki kobiecej w Polsce na poziom, na jakim jeszcze nigdy nie była. Mowa tu również o czynnikach pozaboiskowych.

– Setki tysięcy rodzin siądzie przed telewizorami i włączy TVP1/TVP Sport. Jeśli dzięki temu liczba zarejestrowanych piłkarek wzrośnie o 50%, czyli 15 tysięcy, będzie to gigantycznym sukcesem tej reprezentacji, Niny Patalon i samych piłkarek. Mam nadzieję, że bogate firmy z branży kosmetycznej czy odzieżowej postanowią wykorzystać Euro jako moment zaangażowania się w sponsoring kobiecej piłki. Czas najwyższy, bo to najdynamiczniej rozwijająca się dyscyplina sportu na świecie – wyjaśnia Michał Zawacki.

Każdy spośród grupowych rywali Polek znajduje się w zupełnie innym piłkarskim świecie. Podopieczne Niny Patalon zagrają o to, by piłka kobieca w naszym kraju do tego świata na stałe dołączyła, a dziewczynki z dumą biegały w koszulkach z nazwiskami: Pajor, Dudek, Szymczak czy też Padilla-Bidas.

Igor DZIEDZIC

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra

Wydawca: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM, ul. Umultowska 89a, 61-614 Poznań.

Redakcja: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, Uniwersytetu Poznańskiego 5, pokój 144, 61-614 Poznań

email: fenestra.uam@gmail.com, facebook: www.facebook.com/gazeta.fenestra

ISSN 2658-2023



Redaktor naczelny:

Kacper Zieleniak

Zastępczyni redaktora

naczelnego:

Oliwia Górka

Redaktor działu

polityki

i społeczeństwa:

Oskar Kmak

Redaktor działu sport:

Igor Dziedzic

Redaktor działu kultura

/Szef działu foto:

Szymon Filipiak

Sekretarz redakcji:

Oliwia Górka

Koordinator

ds. warsztatów:

Marcin Klonowski

Korekta:

Hanna Jaskuła

Stanisław Karalus

Martyna Kościńska

Julia Kozerska

Jan Mazurczak

Oliwia Syrek

Amelia Ogrodowczyk

Redakcja:

Szymon Bernas

Damian Biegański

Oliwia Błazik

Marianna Czmochowska

Bartosz Dworczak

Szymon Filipiak

Oliwia Garczyńska

Marcelina Górka

Aleksander Gręda

Zuzanna Grzegorzewska

Wojciech Jaśkowiak

Serhii Khodiev

Martyna Kościńska

Nicole Krakowska

Kacper Lawiński

Oliwia Maziopa

Aleksandra Mierzwa

Olimpia Oliś

Roch Orzechowski

Valeria Petrovskaya

Maria Pilarska

Piotr Rydz

Jakub Samowski

Weronika Szczukiewicz

Leo Targoni

Małgorzata Walkowiak

Zofia Wojewoda

Maja Zielińska

Julia Zygmunt

Opiekunka redakcji:

Aleksandra Konieczna

Skład

Tomasz Szukała

Strona internetowa

www.gazetafenestra.pl

Facebook

www.facebook.com/gazeta.fenestra

Instagram

gazetafenestra

Twitter

/twitter.com/FenestraGazeta

Druk

Drukarnia w Bydgoszczy

ul. Grunwaldzka 229

85-438 Bydgoszcz

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania nadesłanych tekstów.